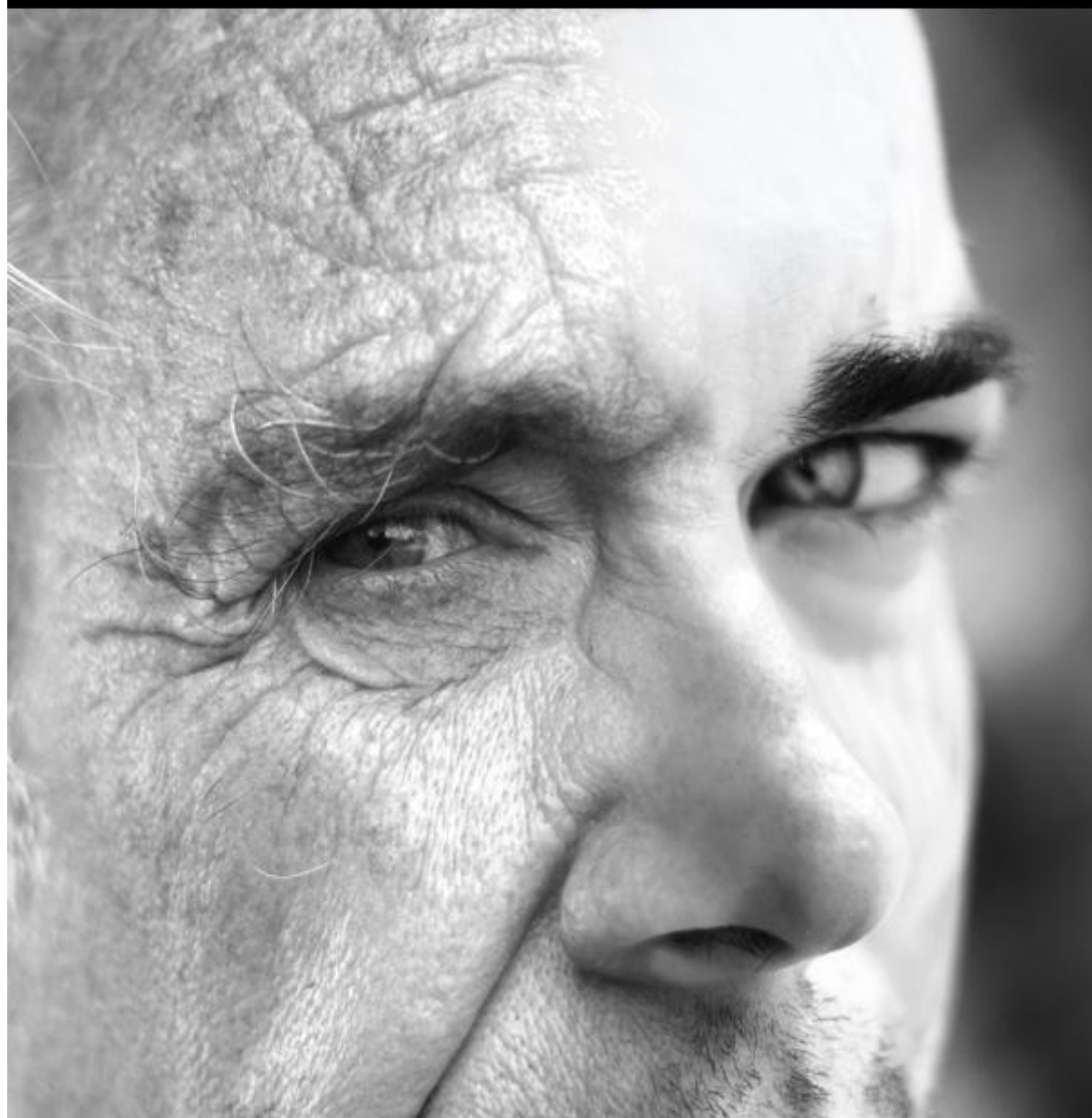


Adolf Nowaczyński

# System Doktora Caro



**Adolf Nowaczyński**

# **System Doktora Caro**

**Utopia humorystyczna**



**Fundacja Festina Lente**

## I.

**T**u, gdzie teraz na rogu Nowego Świata i Alej Jerozolimskich w Warszawie wznosi się dwudziestopiętrowy gmach „Az-Amu”, nasz trzeci z rzędu drapacz nieba pogodnego, imponujący nawet jankesom i jankęlesom swoją dwudziestoczyterokolumnową fasadą i tą dziwną ośmiogranną wieżą w głębi (najwyższą w naszym Stanie); tu (jak to mało kto dzisiaj chyba sobie przypomina) za naszych ongiś czasów stała sobie z frontu przykryta, odrapana sarmacka rudera. W oficynie zaś, od ogrodu na parterze, mieściło się, mało zresztą i wówczas komu znane, „Koło Racjonalnego Rybołówstwa”.

Nikt by się teraz nawet nie domyślał, że tu, gdzie dziś niezliczone kantory i biura Azjatycko-Amerykańskiej Kompanii („Az-Amu”), Banku Wschodnioeuropejskiego, gdzie „Syndykat Azotowy”, „Puck-Singapore Line”, „Towarzystwo Syberyjskie”, „Hydro-Sarmatia”, „Aero-Radio” i tyle, tyle innych wielkokapitalistycznych, handlowych, przemysłowych przedsiębiorstw, tu, gdzie teraz wre spotęgowane, wzmożone życie o gorączkowym, rozwścieczonym tempie, tu, gdzie osiemnaście wind bez przerwy zwozi i odwozi na najwyższe trzydzieste piętra setki interesantów, tu, gdzie brzęczy nieustannie pół tysiąca telefonów, gdzie pneumatyczna poczta rozwozi co godzinę

radiogramy na wszystkie piętra, gdzie rozbrzmiewają wszystkie języki globu..., że tu niegdyś przed przeszło chyba pięćdziesięciu laty rezydował sobie klub najspokojniejszych, najszlachetniejszych, najniecierpliwiejszych, najbardziej zatyłych, zakatarzonych i zapajęczonych obywateli stolicy: „Koło Racjonalnego Rybołówstwa”.

Portierem i filarem stropowym klubu był wówczas Jędrzej Wąsik, prezesem – radca Towarzystwa Kredytowego Andrzej Pocijowski. Członków zwyczajnych: dwustu czterdziestu dwóch. Honorowych: czternastu.

W głównej sali paradnej dwa własnoręczne obrazy Żmurki, dziesięć oryginałów Kostrzewskiego oraz dwadzieścia sześć portretów członków klubu pędzla mistrza Jana Gwalberta Ślaza.

Ruch w klubie zaczynał się koło szóstej wieczorem, aczkolwiek już i w południe na obiad przychodzili starzy kawalerowie, wdowcy i rozwodniki, skoro szef kuchni był ongiś, wedle tradycji, pomocnikiem kucharza „u samego Gucia Potockiego” i miał opinię mistrza. Do jego bowiem specjalności należały: bitki à la Moukhanof, poularde braisée aux marrons à la Nepropos, zraziki gubernatorskie, jajko Kolumba na słoninie, faisán à la Branicki itp.

„Klub Racjonalnego Rybołówstwa”, trzeba już to mu przyznać, nie grał wielkiej roli w mieście.

Nie można jego autorytetu, prestiżu i obywatelskiej działalności równać z żadną z resurs ówczesnych, a cóż dopiero z „Myśliwskim”, z „Ziemiańskim”, ani też z „Wioślarzami” czy „Technikami”. Wegetował szaro od dziesiątków lat w podwórzowym kącie, nie roszcząc sobie żadnych wielkich ambicji ni pretensji i nie wtrącał się do życia publicznego.

Stolików do kart było dziesięć, bilardów dwa, stolików do szachów trzy, starej „carskiej” śliwowicy w piwnicy

jeszcze jakieś 800 butelek, wina reńskiego ze 300, Burgunda – 2800, Vermouthu – 470, szampańskiego różnych marek i maści razem około 7200 butelek; w bibliotece klubowej tomów razem do tysiąca.

W niektórych pokojach nawet pajęczyna po kątach u sufitu.

Gazety na stołach w czytelnicy przeważnie odchodziły w dziewiczym stanie do portiera i kucharza, których rodziny dopiero używały je do rozmaitych celów praktycznych.

Większy ruch stosunkowo zapanowywał u „Racjonalnych Rybołówców” koło godziny dziesiątej. Wtedy bywało dość gwarno i przy bufecie, i w karcii.

Już atoli około godziny dwunastej przeredzało się najpierw przy stolikach do belotki, około pierwszej przy stolikach od brydza, a około drugiej przy pokerze. Już mniej więcej o drugiej cały lokal tonął w półcieniu, a tylko dwaj służyący, Filip i Szczepan, krzątali się, sprząając i wynosząc cetnarami ogryzki od papierosów i cygar i wypijając resztki piwa ze szklanek i wina z kieliszków.

Trzy razy do roku atoli i ten lokal jaśniał rześcicie oświetlony aż do samego ranka, tj. na św. Andrzeja w dzień imienin prezesa oraz w dwie noce karnawałowe, kiedy „Koło Racjonalnego Rybołówstwa” dawało bal i dopuszczało panie, żony, siostry, wdowy, sieroty i rozwódki oraz młodzież męską z miasta. Tylko w te trzy noce stęchłe, ciche, stare ustronie z Nowego Świata szumiało i brzęczało życiem i wesołością jak ten ul pszczelny.

Na podwórzu, bywało, stały wtedy trzy, cztery samochody.

Mieszkańcy oficyn nie spali, a przewracali się w łózkach i przeklinali „Rybołówców”. A w sali karcianej, gdzie podłogę poprzednio froterowano przez cały dzień, szedł o dziesiątej najpierw tradycyjny krótki polonez z prezesem prowadzącym

dyrektora, generałem prowadzącym prezesową, dyrektorem prowadzącym ordynatorową Tarło, po czym od razu przez całą noc shimmy, charleston, fokstrot, a wreszcie stare, ale jare, poczciwe tango. Płeć niewieścia bowiem od „Rybołówców” szła z prądem czasów, a tylko męska połowa frondowała i nie godziła się z nowoczesnością.

Ale co się to dziwić? W klubie „Racjonalnego Rybołówstwa” przeważali ludzie starej daty.

Najmłodszy członek, inżynier (dróg i mostów) Tymoteusz Koreysza-Kołoński liczył lat czterdzieści i dziewięć.

Przygniatającą większość w klubie stanowili starsi posiadacze realności, pałaców, willi podmiejskich oraz rozmaitych papierów wartościowych, akcji i reakcji. Dalszy kontyngent rekrutował się z kilku lekarzy ordynujących już tylko u siebie w domu (z czego dwóch homeopatów), z kilku adwokatów (specjalistów od spraw rozwodowych), z kilku radnych miejskich, z kilku dyrektorów pomniejszych banków, towarzystw i spółek, z kilku kupców i przemysłowców (szczotki, czekolada, lustra, dywany, mydło, guziki, powozy i wózki dziecinne).

Duchowieństwo reprezentowali dwaj prefekci ze szkół i jeden kanonik. Z wojskowości należało tu dwóch pułkowników i jeden generał; wszyscy trzej z byłej armii rosyjskiej, zatem szybko spensjonowani i w odstawce.

Z wolnych zawodów, dosłownie „zawodów” życiowych, zanotować należy dwóch współredaktorów sędziwego „Dziennika Sarmackiego”, tj. panów Żółzikiewicza i profesora Goryczkę.

Asem natomiast i rarytasem, chlubą i dumą „Racjonalnych Rybołówców” był przez krągłe lat trzydzieści nasz znakomity portrecista, mistrz Jan Gwalbert Ślaz, któremu też zawdzięczać należy, że omal „większa połowa” wybitnych

członków Koła uwieczniona na płótnie lub papierze, olejno lub akwarelowo, w kwadratach lub owalnie, w ramach złożonych lub dębowych, niektórzy zaś nawet dwukrotnie, to jest „przed” i „po”, wisiała sobie na ścianach kasyna.

Co znaczy „przed” i „po”?

Otóż „przed” to znaczy przed rokiem 1926, a „po” to znaczy po roku 1926.

## II.

W Warszawie dzisiejszej, w owym rozszerzonym Domu Baryczków na drugim piętrze w sali nr 8 wiszą obok siebie pod nr 231 i 231 (w katalogu) dwa portrety tego samego mężczyzny, które nam najlepiej wytłumaczą, co znaczy „przed” i „po”.

Są to dwa portrety prezesa Andrzeja Pocijowskiego przez tego samego mistrza Gwalberta Ślaza wykonane. Pierwszy jest z czasów pierwszej wojny europejskiej z roku 1916, drugi zaś z roku 1926.

Otóż na pierwszym widzimy mężczyznę w podeszłej sile wieku o raczej siwych niż szpakowatych wąsach sumiastych, o twarzy pooranej bruzdami i zmarszczkami, nieco nalanej i jakby opuchłej, o cerze niezdrowej, nawet cokolwiek ziemistej. Aczkolwiek w górze portretu jest herb (gdyż Pocijowscy wywodzą się z Pocijowa i należą do starej szlachty warszawskiej), to jednakże pan Andrzej jest kompletnie łysy i tylko nad uszami ma dwie tak zwane pożyczki (co też całkowicie zgadzało się z rzeczywistością). Tak go widział i wypisz-wymaluj wymalował dla potomności mistrz Ślaza anno 1916.

Tuż obok wisi portret drugi, utrzymany również w klasycznym tonie wizerunków godnych krajowych osobistości. Rysy twarzy te same, ten sam nos, może nie orli, ale charakterystyczny, tak samo zakrojony podbródek i kształt uszu ten sam, ale jakaż zmiana i to w lat dziesięć. Cera młodzieńcza, zmarszczek ani śladu, włos blond, jasny i czupurny, twarz owalna bez śladu nalania, a w miejscu, gdzie błyszczała łysina, teraz bujna, może nawet zawadiacka czupryna. Wyraz twarzy rześki, energiczny, nawet nieco prowokujący.

Takie to dwa portrety posiada dzisiejszy Wielki Dom Baryczków.

Na składach zaś i magazynach „Towarzystwa Zachęty” jest jakieś dwadzieścia dzieł olejnych tegoż mistrza Ślaza, które swego czasu, tj. po zlikwidowaniu i zamknięciu klubu, ofiarowane zostały ryczałem „Zachęcie”, a przedstawiających szereg obywateli miasta Warszawy w różnych czasach różne godności piastujących, a wieloletnich działaczy z zakresu racjonalnego rybołówstwa i to tych samych osobników w wieku młodszym, a potem starszym (po latach dziesięciu, piętnastu, dwudziestu) i rzecz to zdumiewająca, także młodo wyglądających na portretach późniejszych, a starszych, albo wprost starych i zwiędniętych na portretach ze wcześniejszą datą. Ponieważ te portrety spoczywają w magazynie, w pakach, przeto nikt się tym nie interesuje, jak również mało kto zachodzi do sali nr 8 w nowym Domu Baryczków i zwraca tam uwagę na dwa tajemnicze portrety Andrzeja Pocijowskiego.

W ogóle nad tym fenomenem, bądź co bądź artystycznym, wszyscy przeszli do porządku dziennego. Kto ma tam czas zastanawiać się nad takimi problemami w dzisiejszej Warszawie, stolicy VII Stanu w Zjednoczonych Stanach Europejskich, w półtoramilionowej Warszawie,



w omal międzynarodowej metropolii handlowej, w której kolonia dziedzicznie polska, aczkolwiek jeszcze bardzo liczna, nie gra znów tak decydującej roli?

Dopiero w ostatnich czasach, jak wiadomo, zajął się sprawą jeden z młodych historyków sztuki, pracujący nad monografią wielkiego malarza z końca XIX wieku i początków XX wieku, Jana Gwalberta Ślaza.

I temu to historykowi sztuki zawdzięczamy rozwiązanie zagadki związanej z całą kolekcją portretów wybitnych obywateli Warszawy z lat przełomowych.

### III.

Profesor Jurand Sztumpf (gdyż o nim tu mowa) w badaniach swoich doszedł od nitki do kłębka.

Studiując w magazynach „Zachęty” „obrazy Boskie” Ślaza, znalazł tam między innymi i portrety dzisiejszego generalnego dyrektora "Az-Amu", sędziwego już, ale jeszcze bardzo krzepkiego i dziarskiego starca Tymoteusza Kołtońskiego, wielokrotnego w latach 1930–1945 ministra handlu, przemysłu, skarbu, kolei, elektryfikacji itp.

Portret pierwszy przedstawiał znakomitego finansistę („naszego Morgana”, jak go nazywano) w całej figurze, siedzącego w wygodnym fotelu z ręką opartą na lasce (z którą się wtedy nigdy nie rozłączał), nieco przybladłego i jakby schorowanego: świetnie oddana żółta, pergaminowa skóra na suchych, pełnych wyrazu rękach.

Na dole podpis: Jean Gwalbert Ślaz pinxit 1925.

Na drugim portrecie identycznie: Jean Gwalbert Ślaz pinxit 1926.

I oto ten sam człowiek, również w całej figurze

uwieczniony, ale teraz jako sportsmen w popielatym garniturze angielskim, z pończochami do kolan, z rakieta tenisową w ręku, rzeński, smukły, z głową zadartą czupurnie. Cera twarzy rumiana i czerstwa, wzrok przenikliwy, uśmiech pogodny i radosny. Ten sam, ale nie ten sam. W przeciągu jednego roku i taka zmiana, i to w odwrotnym kierunku, nie ku starości, a ku młodości? Chyba omyłka w datach, jakie mistrz Śluz postawił na swoich obrazach? Tak zdawałoby się. Tymczasem atoli równocześnie jednak i w innych portretach Śluzowych uderzało to samo zjawisko, każdemu z miejsca widoczne i narzucające się. Później malowane te same modele stanowczo robiły wrażenie wcześniejszych, młodszych, znacznie młodszych.

Co znaczył ten fenomen?

Jak to wytłumaczyć? W czym rzecz?

I tedy to młody esteta, profesor Jurand Sztumpf, zdecydował się na krok stanowczy. Postanowił osobiście dotrzeć do samego generalnego dyrektora „Az-Amu”, senatora Kołtońskiego, i od niego wydobyć tajemnice metamorfoz w portretach Śluzowych

Nikt inny nie mógłby go objaśnić, gdyż wszyscy inni portretowani w różnych czasach powymierali z kretelem i nieodwołalnie.

Tylko ten cyklop zdrowia trzymał się krzepko, jak ten dąb, czy też Wyrwidąb raczej, ściskając w ręku ster kilkunastu karteli, banków, trustów, spółek, towarzystw, syndykatów.

Oczywiście przystęp i dotarcie do takiego potentata międzynarodowego kapitału przedstawiało dla takiego przeciętnego (choć już cenionego powszechnie) estetyka i historyka sztuki jak nasz Sztumpf niezwykle trudności. Listy polecające nie pomogłyby nic. Ani też listy z pogrózkami. Nad starym Kołtońskim czuwało zawsze dwóch detektywów, gdyż rodziny ani potomstwa już nie posiadał.

Trzeba było użyć podstępu.

I profesor Sztumpf wpadł na pomysł, aby pewnego pięknego poranka, kiedy stary młodzieniec wyjeżdża rano ze swego pałacu w dzielnicy milionerów na Polach Mokotowskich, po prostu dać się tam wtedy Kołtońskiemu przejechać, naruszyć nieco i poturbować. Kiedy go połamanego przeniesie służba do pałacu (tak kombinował), wtedy wyzna szczerze Kołtońskiemu, o co mu chodziło.

I tak też się stało.

Pewnego pięknego wiosennego poranka, kiedy samochód senatora Kołtońskiego wyjeżdżał w główną aleję dzielnicy Pól Mokotowskich, nagle z bocznej Alei Akacjowej, tuż spod pomnika Karola Szymanowskiego (dłuta Augusta Zamoyskiego) wysunął się na środek jezdni jakiś przygarbiony jegomość w niebieskich okularach. No i oczywiście został z miejsca przetracony.

Co prawda, przy tej okazji i kilka żeber mu połamało.

Wniesiony do pałacu, kiedy tylko odzyskał przytomność, natychmiast wygarnął senatorowi, z czym tu (co prawda z połamanymi żebrami) przybywa.

– Zaimponowałeś mi, młodzieńcze. Człowiek, który pozwala dać sobie zgnieść cztery żebra na to tylko, by wydobyć ze mnie tę tajemnicę, ma wielką przyszłość przed sobą. Na razie zasługujesz pan na zaufanie natychmiastowe. Jak pan mnie tu widzisz przed sobą, mam obecnie oficjalnie lat 86, a w gruncie rzeczy liczę sobie sto dziesięć. Dwadzieścia cztery lata zataiłem przed publiką i skreśliłem sobie, aby nie być obiektem sensacji i nagabywania przez reporterów tutejszych i zagranicznych. Życie prowadzę istotnie bardzo higienicznie. Dziennie wypalam najwyżej sześć cygar. W południe wypijam najwyżej półtorej butelki czerwonego wina, wieczorem ad libitum, do poduszki pół butelki koniaku, przed zaśnięciem szklaneczkę grogu lub

whisky.

– No więc w jaki sposób właściwie?

– W jaki sposób tak się zakonserwowałem i czemu zawdzięczam drugą młodość, pan pyta?

– Nie tylko to, nie tylko to, panie senatorze, ale jak pan zachowałeś tę wspaniałą pełnię władz umysłowych, ten geniusz finansowy, te niesłychane, niespotykane u nas pomysły ekonomiczne, tę największą skalę inicjatywy i inwencji gospodarczej, to wszystko, czemu zawdzięczamy wspaniałą wzrost naszej marynarki handlowej, wysuszenie Pińszczyzny, uprzemysłowienie Polesia, elektryfikację kolei państwowych, Hydro-Sarmatię, Towarzystwo Syberyjskie, wykupienie Krety od Anglików, nasz Adampol – ten wspaniały polski port nad Morzem Czarnym, nasze sześć tunelów w Karpatach i w Tatrach?

– Powoli, powoli, kochany profesorze. Nie ubieraj mnie pan w cudze piórka i nie przypisuj mnie jednemu tego wszystkiego, czego dokonał cały szereg moich przyjaciół i rówieśników, którzy, niestety, nie doczekali już dnia dzisiejszego rozkwitu i którym już wcześniej rozstanie ze światem przypadło.

– Tak, owszem, przyznaję, że kilku...

– Nie kilku, panie, nie kilku. To, czym ojczyzna nasza jest dzisiaj, to zawdzięczamy nie mnie i nie kilku, nie kilku, a krągło dwudziestu członkom „Koła Racjonalnego Rybołówstwa”.

– Racjonalnego Rybołówstwa? Pierwszy raz o tym słyszę.

– To źle, mój młodzieńcze, że pierwszy raz, ale mniejsza z tym. Jako estetyk i historyk sztuki nie mogłeś się zajmować rozwojem „Racjonalnego Rybołówstwa” w kraju. Ale i ja także teraz nie mogę wobec tego, że już godzina ósma rano, a mnie w „Az-Amie” czeka zapewne kilkudziesięciu

interesantów. Okoliczności atoli składają się dla ciebie, młody przyjacielu, wyjątkowo szczęśliwie. Ponieważ mój samochód potrafił panu sześć zeber, przeto jest moim obowiązkiem zająć się odtąd pańską niedolą. Angażuję pana na dwa lata do napisania wielkiej, pomnikowej, monumentalnej monografii „Kola Racjonalnego Rybołówstwa”. Naturalnie musi być ilustrowana, bogato ilustrowana, z portretami.

– Senatorze najszanowniejszy! Gdyby nie ta okoliczność, że muszę leżeć i mam podwyższoną temperaturę, rzuciłbym się w pańskie objęcia.

– Obejdzie się. Leż pan spokojnie i panuj nad afektami. A oto tutaj wręczam panu, panu pierwszemu, rzecz niezwykle interesującą. Jeżeli gorączka pańska nie będzie zbyt wzrastała, to po operacji, kiedy panu mój lekarz przyboczny wyjmie już potrzaskane zebra i wstawi świeże, aluminiowe, możesz pan wondrous zagłębić się w lekturę tego oto „Pamiętnika”. Nikt go jeszcze w rękę nie miał. Nikt nie wie i nie domyśla się, że taki pamiętnik istnieje. Pisałem to lat temu będzie, zdaje się... chyba... ze siedemdziesiąt. I dlatego pismo będzie dziś nieco nieczytelne, zamazane i wyblakłe. Pisywałem bez ładu i składu, czasem co dzień, czasem raz na miesiąc w tej erze mojego życia, kiedy cierpiałem przewlekłe na perdurację cerebralis (*partielle Gehirverstopfung*) – „częściowe przetwardzenie mózgu”. Nie tylko zresztą ja, ale moi wszyscy przyjaciele i rówieśnicy. Wskutek nieracjonalnego odżywiania się. Spisywałem tylko to, co się wydarzyło w roku, zdaje się, w roku 1926, dobrze nie pamiętam. Potem już nie miałem ani czasu, ani ochoty. Ale ten okres jest najważniejszy. W tym okresie zaszły te niesłychane przemiany. I w tym „Pamiętniku” znajdziesz pan rozwiązanie tajemnicy portretów mistrza Ślaza... Teraz żegnam go i wrócę tu wieczorem. Gdybyś atoli zmarł w tym czasie, mój przyjacielu, no to oczywiście napisanie monografii „Racjonalnych

Rybołówców” powierzyłbym komu innemu. Rodziną pańską oczywiście się zajmę i zaopiekuję. Żegnam profesora...

I to mówiąc, starzec stuletni obrócił się na pięcie jak młokos i elastycznym krokiem omal cowboya podążył do drzwi szklanych na tarasę i do samochodu, z którego szofer już przeciągłym, dojmującym chwistaniem dawał oznaki zniecierpliwienia.

Nie trzeba tu chyba dodawać, że profesor Jurand Sztumpf nie zastosował się do zaleceń prezesa generalnego „Az-Amu”.

Ani nie wstrzymał się z lekturą „Pamiętnika” do przyjścia doktora, ani nie zwrócił uwagi na swą wzrastającą gorączkę. Z pośpiechem przedarł grubą zapieczętowaną kopertę i wyciągnął z niej zwój kartek.

Z łapczywością i zachłannością człowieka, który dorwał się do Sezamu, zaczął czytać rękopis przy wzrastającej gwałtownie gorączce, która pod koniec lektury „Pamiętnika”, kiedy właśnie wchodzili chirurdzy na operację, doszła do czterdziestu dwóch stopni w cieniu.

Znaleziono go w bezprzytomnym stanie, zaplątanego w pościel, leżącego nie na łóżku milionera, ale na dywanie przy łóżku z grubym rękopisem w zaciśniętych kurczowo dłoniach.

Jedno z żeber nadłamanych wbiło mu się dość boleśnie w sam środek żołądka.

Według nowych metod leczenia szybko wstawiono mu nowy żołądek oraz cztery żebra ze specjalnie srebrzonego aluminium.

Tego dnia wieczorem już nasz pacjent mógł się przy biurku w jednym z gościnnych pokoi pałacu Kołtońskich przy alei Platanowej na Polach Mokotowskich i zabrać się z energią do pisania dziejów „Koła Racjonalnego Rybołówstwa”.

Równocześnie zaś przygotowywał się też do pisania

monografii znakomitego malarza z końca XIX i z początków XX wieku – Jana Gwalberta Ślaza.

Dwa te bowiem tematy dwóch poważnych prac naukowych, aczkolwiek pozornie niekonkordujących ze sobą, w gruncie rzeczy atoli okazały się bardzo bliskie, pokrewne i ze sobą splątane.

## **Pamiętnik Tymoteusza Koreysza-Kołtońskiego**

6 stycznia 1926 r.

„Człowiek jest zwierzęciem wielokomórkowym, tj. o wielu zróżniczkowanych komórkach tak samo jak gąbka lub pierścienice. Należy do rzędu antyzoidów (A.N.T.I.Z.O.I.D.O.W.), ponieważ posiada głowę, brzuch, grzbiet, dwupołowniczą symetrię... Należy człowiek do typu kręgowców, gdyż ma chrząstkowy szkielet, do klasy ssących, do pół-klasy łożyskowych, do grupy naczelnych obok rękoskrzydłych i gryzoniów”. Amen.

...Ciekawe!...Ciekawe!

Nędza w kraju jest taka, że Łyczkowscy, żeby przetrzymać, przenoszą się na rok do Rzymu, cała rodzina w siedem osób. Jest tam pensjonat „Quisisana” przy Piazza di Fra Diavolo, gdzie dziennie będą płacili od sztuki cztery liry. Łyczkowski obliczył nam ściśle, że w Wiecznym Mieście na Siedmiu Wzgórzach w siedem osób, tuż pod nosem Ojca Świętego (mogą się codziennie kapać w łaźniach Caracalli lub Tytusa) rocznie wydadzą tyle, ile w ojczyźnie wydaliby w jeden kwartał. Jak tak pójdzie dalej, wszyscy, co się liczą z groszem, powynoszą się do Włoch, do Paryża, do Nicei, a w kraju zostaną tylko utracjusze, lekkomyślniki i element hulaszczy...

7 stycznia

Rano strzykanie i bóle w lewej nodze, nie wziąłem wanny, bo Wojciechowa odradziła.

Trzeba będzie spróbować tego „Capsinapu”; podobno nic na podagrę i reumatyzm tak nie pomaga, jak ten „Capsinap”. Bierze go pułkownik i od kilku tygodni czuje się lepiej, tylko w uszach zaczęło mu coś strzykać i rwać w śledzionie. Przeczytałem w łóżku „Kurierka” od deski do deski, szczególnie ogłoszenia, w których można się najlepiej dowiedzieć o stanie ekonomicznym i o tym, kto tam ze znajomych znów umarł.

„Za mieszkanie dwupokojowe z centralnym ogrzewaniem, byle bez wanny, w śródmieściu, z kanarkiem i wygodnym umeblowaniem, odstąpię natychmiast majątek sześćsetwłókowy z pałacem z osiemnastego wieku tuż pod Białymstokiem. Wiadomość u stróża”.

Witamina znów zdrożała.

Zmartwienie w Klubie, bo redaktor Goryczka ma mieć w środę pojedynek, a w czwartek proces w sądzie. Pojedynek z mecenasem Grünszpanem za to, że go zwymyślał w „Dzienniku Sarmackim” od Wallenrodów, a proces z mecenasem Kruczkiem (ongis Raabe), który Goryczkę oskarżył za nazwanie go „znajdą”. Grünszpan podobno strzela jak sam Nemrod, brał lekcje na strzelnicy, a w Monte brał udział w „Tire aux pigeons” i trafia we włoszek na jajku i w środek asa kierowego. Otóż, jeżeli go zastrzeli lub postrzeli w środę, stary Goryczka nie będzie mógł stawić się we czwartek i nałożą mu pięć tysięcy złotych kary. A tymczasem, gdy całą frakcję Żółzikiewiczów i Goryczków przycisnąć do ściany, to z nich pięciu tysięcy nie wycisnie.

...Nic mnie do takiej pasji nie doprowadza, jak ta gra w szachy w Klubie... Wprost nie pojmuję, jak można tyle godzin trwać nad tak przeraźliwie nudną grą. Odprawiają to



stale homeopata, ksiądz prefekt, sam prezes i jeszcze kilku. Najlepiej pono gra i kombinuje Safian Dulski, ale i on podobno skończony fuszer i poza klubem nigdzie by się grać nie odważył z prawdziwymi szachistami. Siedzą i siedzą przy tym stoliku pod oknem, przy nich zawsze kilku kibiców ziewających, popijają wodę „Vichy” i suwają figurkami. Zafundowałem Klubowi tego mah-jonga, ale nikt z nas jakoś w to grać nie umie i karty więdną w szufladzie. Podobno bardzo trudna i mozolna ta gra mah-jong i wymaga jakiejś specjalnej inteligencji i kalkulacji. Skąd takie żółte Chińczyki mogły wymyślić taką grę skomplikowaną? Warkocze jeszcze szelmy noszą, opiumem się narkotyzują, a takiego mah-jonga wymyśliły.

Kibicowałem dziś trochę przy partii szachów i dowiedziałem się przy tym ciekawych sprawek. Otóż szampionem wszechświatowym w szachach jest teraz w tym roku niejaki Lasker. Na imię mu Bernard czy Izydor, czy coś podobnego. Brata ma w Berlinie lekarzem. Otóż ten Lasker zdobył szampionat w samym Petersburgu i jeszcze w roku 1914. Grał z takim Kubańczykiem Capablanca 8 partii, z czego 6 wygranych, dwie remis. Potem go Capablanca znów zabrał na turniej, ale do siebie na Kubę. I tam znów grali sobie dwa dni bez przerwy wobec świadków z całego świata, ale że na Kubie gorąco bardzo (do stu stopni dochodzi) i wszyscy chodzą sobie w trykotach kąpielowych, a Lasker jako nasz rodak (podobno z Będzina) do gorącego klimatu nieprzyzwyczajony, więc przerznął i szampionat światowy wziął Kubańczyk. Teraz znów grali w jakiejś stolicy, ale zimnokrwistej. Znów był taki turniej. Grało podobno trzydziestu z całej kuli ziemskiej i znów ten stary Lasker wygrał i jest na nowo szampionem wszechświatowym. Ma lat 68. A to zawzięta sztuka.

Podobno jest w Warszawie jakiś mały chłopczyk. Ma lat

8. Nazywa się Spiro. Na imię mu Izydorek czy Bernardek, czy coś podobnego, a potrafi grać ze starymi szachistami równocześnie osiem partii, tzw. „brylantowych” i wszystkie wygrywa. Bądź co bądź musi być bardzo zdolny, bo do tego trzeba mieć taki zmysł do kombinacji i kalkulacji (szachy i szachrajstwa).

Wieczorem, po powrocie z Klubu, Wojciechowa zdawała mi bieliznę z prania. Nie mogę się doliczyć chustek do nosa. Miałem przecie trzy tuziny. Tymczasem jest ni stąd, ni zowąd 39, zatem trzech brakuje. Awanturę zrobię, ale już rano, po kawie.

8 stycznia

Bratanek prezesa Pocijowskiego oświadczył się o pannę Mirtę Feinsteiniankę (firma „Bergsohn i F. Eistein”), tak zwaną jedynaczkę króla łożu, tę starszą, co to bierze wszystkie nagrody w konkursach hipicznych. I został przyjęty. Pocijowski, szczwany lis, udaje niby oburzonego, ale w gruncie rzeczy podobno bardzo kontent z tego mezaliansu i jakby go kto na sto koni wsadził. Młody jest przystojny, wysoki blondyn, w tenisie się nie męczy i nie sapie, z przekonania i zasad umiarkowany, nieco socjalista i umiarkowany narodowiec, a od roku jest w MSZ i ma zostać (jeśli mu się z tym mariażem uda) szefem attachatu ambasady w Portugalii, w Lisbonie. Panna posiadicielka sześciu domów i ze sześćset tysięcy złotych dostanie z rączki do rączki (na razie, a potem więcej), tylko że choć ma na imię Myrta, to z mirtem podobno gorzej i w ogóle podobno puszczała się jako lotniczka nawet w kabinie tysiąc metrów nad ziemią. Odważna!

W Klubie wcale nie byłem, bom się gryzł i martwił od samego rana! Z czego my będziemy żyli, jak tak dalej pójdzie? I to wszyscy „nasi”. Dokoła jakoś ludzie sobie dają

radę, robią różne geszefta, kombinują, kalkulują, to kupują lasy, to sprzedają, wycinają, wywożą. Ten na lnę, tamten na konopiach, ten nawet na mydle nie wychodzi jak Zabłocki. A my jakoś nic. Po prostu nie orientujemy się w dzisiejszym życiu czy co, u diabła? Nowi ludzie nas we wszystkim dystansują, a my nic, tylko żyjemy z kapitałów, z kuponów, z tego, co nazbierali nasi ojcowie właściwie. I to wszyscy w „Kole Racjonalnego Rybołówstwa”. Jak tak dalej pójdzie, wypiszę się z Klubu i albo do „Techników”, albo do „Kupieckiej”.

Przyjaciółka (stosunek) Stefka Ramołyńskiego, ta aktorka, telefonowała, proszą na kolację. Jutro jej imieniny, Marcjanna ma widocznie na imię, czy coś podobnego. Rano pošlę kilo pralinek od Wedla i chryzantemy. Ciekawym, czy czekolada znowu zdrożała?

Wkrada się w Klubie przykry zwyczaj nieregulowania długów karcianych.

Dywaniarz przegrał czterysta jeszcze przed Bożym Narodzeniem i od dwóch tygodni „nie bywa”.

Szef dał nam wczoraj takie bitki à la Strogonow, żeśmy we czterech poszli do kuchni pogratulować mu uroczyscie. Miał łzy w oczach ze wzruszenia, ale ledwie się na nogach trzymał.

I pomyśleć sobie, że on jeszcze z Guciem Potockim tak się urzywał za czasów Hurki i Marii Andrejewny. Od lat czterdziestu dzień w dzień od siódmej rano do siódmej rano.

Jednak nasz lud jest wytrzymały i ma przyszłość przed sobą.

Niektóre akcje zaczynają się poprawiać.

Szczególnie Pol-bele (Kabel polski) i Pilbole (Fabryka pilników krajowych). Może ta Polska jednak coś będzie warta.

9 stycznia

Długa, kilkugodzinna konferencja z „X”. Ponieważ

cierpię tak na tę amnezję (utrata pamięci), więc jak zwykle starałem się notować wszystko dość pedantycznie w godzinę po konferencji, dlatego boję się, czy pewnych szczegółów nie poplątałem z innymi i czy te, co ważne, nie uleciały mi z głowy.

W każdym razie jest to fakt, że **ten profesor Caro mieszka we Florencji!**

Jest doktorem (najwybitniejszy z uczniów Woronowa) i całą tę metodę stara się udoskonalić do ostatnich granic.

Z zawodu, z profesji – uczony, bada patologię ras. Co to jest ta patologia ras, to dokładnie nie wiemy, ale to do rzeczy, do **naszej** rzeczy, nie należy. Otóż ten doktor Caro kilka razy z naukową wyprawą bywał sobie w Abisynii (w Afryce Północnej – popatrz na mapę). I tam ci uczeni odnaleźli wysoko w górach jeden zupełnie zagubiony szczep ludzki, który się sam tam uchował, nic a nic o reszcie ludzkości nie wiedząc. Ponieważ mieszka w górach, więc oczywiście jest to góralski szczep.

Nazywa się ten szczep Falasza. Pochodzi, według tradycji, od królowej Judyty czy też Saby, czy też Sary, w każdym razie jest **tej samej rasy co Sara**. Będzie tego szczepu ze sto pięćdziesiąt do dwustu tysięcy sztuk.

Ponieważ atoli żyli w odosobnieniu od reszty ludzkości, więc trochę kompletnie zdziczeli, a że w gorącym klimacie, więc odzieży nie używają, a tylko nieco zarastają na całym ciele (jak małpy). Jeszcze ich bardziej zbliża do małpiego gatunku czy szczepu niesłychana zwinność i zgrabność, jakiej nabrali, bytując w górach i na drzewach. (Góralska zgrabność – juhasy).

Doktor Caro pierwszy raz natknąwszy się na ten szczep, był przekonany, że to może pawiany.

Dopiero dłuższa konwersacja w narzeczu hetyckim (argot hebrajskiego) przekonała go, że to nie tylko ludzie, ale pod

względem predyspozycji mózgowych jacyś nadludzie. Żywią się wyłącznie jarzynami (pewnym gatunkiem cebuli, odmianami selera, bulw, karczochów i czosnku) oraz rybami, których to ryb morskich oraz kawioru mają sporo w jeziorach między górami rozlokowanych. Pomiary **kraniologiczne**, jakie ta wyprawa naukowa, z doktorem Caro na czele, tam wyczyniała, wykazały, że są to „dwugłowce”, najbliżsi kształtem korpusu do starożytnych Fenicjan i Kartagińczyków.

Otóż wtedy doktor Caro wziął sobie z Abisynii za niewielką cenę cały ładunek Falaszów do swej kliniki we Florencji i tam dalej dokonywał badań antropologicznych i kraniologicznych, szczególnie na samcach, tj. raczej na mężczyznach.

Okazało się, że te górale abisyńskie to jest wprost jakiś fenomen gatunku ludzkiego o niezwyklej hipertrofii wszelkich zdolności i talentów, widocznie wypoczętych i nieużywanych wskutek niestykania się przez wieki całe z resztą ludzkości. Eksperymenty, jakie na nich robił doktor Caro dały niesłychane rezultaty.

To, do czego normalny człowiek, tj. Europejczyk (albo Murzyn, albo Japończyk), w ogóle homo humanus potrzebuje roku, do tego im wystarczy tydzień. W trzy dni nauczyli się czytać i pisać po włosku. W tydzień algebra, w miesiąc stenografia, w trzeci – chemia organiczna.

W dwa miesiące niektóre okazy umiały zgłębić jakiś system filozoficzny albo zrobiły jakieś odkrycie w dziedzinie astrofizyki czy sejsmografii itp.

Falaszki z niektórych okolic górskich w głębi Abisynii są podobno potomkami w prostej linii Matuzalema i żyją po sto trzydzieści do stu sześćdziesięciu lat, a nawet dłużej.

Podobno dwa centymetry kubiczne, czyli tysięczna część litra czystej krwi falaszowej już by wystarczyła?

Doktor Caro trzyma ich w zamknięciu i odosobnieniu

w swej klinice, która jest rodzajem twierdzy. Żyją w ogrodzie.

Ani Stejnach, ani Woronow nic o tym wszystkim nie wiedzą.

Mój „X” jest szwagrem doktora Caro...

Tak się szczęśliwie dla mnie złożyły okoliczności....

Zatem do dzieła, do dzieła, do dzieła!

10 stycznia

Mistrz Ślaz będzie robił z magnifiki naszego homeopaty landszaft do kolan w balowej sukni z dekoltem na 48 nakryć. Karnacja cielesna podobno jeszcze wcale, wcale mimo trojga dzieci, z których jedno bardzo niedowarzone czy niewydarzone.

Kartka z Paryża od tego idioty Hipcia.

Pisze tylko kilka słów: „Veni, vidi, vici”. Podobno takie kartki aroganckie dostało ze trzydziestu członków Klubu. Co to znaczy? Skąd się wzięło takiemu niedołądze wiecznie zakatarzonemu, takiemu notorycznemu impotentowi (ni do wina, ni do winta) cytować zdanie Hannibala spod Kapui?

W nocy tegoż dnia.

Kolacyjka u „naszej Sary Bernard” była bardzo miła. Ona naprawdę ma wielki talent i dużo wdzięku. Na scenie występuje pod nazwiskiem Królikowskiej, choć podobno nazywa się całkiem inaczej.

Z naszych był Żółzikiewicz z „Dziennika Sarmackiego”, mistrz Ślaz i jeszcze dwóch panów z miasta oraz dwie koleżanki, dość szpetne.

Zauważyłem od dawna, że ładne artystki zawsze przyjaźnią się z brzydkimi. Dlaczego to robią, nie wiadomo. Za tydzień gra Królikowska tytułową rolę w dramacie Gabriela d'Annunziego pt. „Okręt”. Zanotowałem to sobie

specjalnie, żeby być *au courant* na kolacji. Dało to oczywiście pretekst Ślazowi do wygłoszenia toastu ku czci naszej krajowej boskiej „Sary”, który się wypilo prawdziwym Moet Chandonem. Nawiasem mówiac, skąd Ramołyński ma jeszcze na takie luksusy?

Ten d'Annunzio to podobno nazywa się Rappaport i pochodzi z Brodów. Oczywiście dużo było mowy o sztuce, malarstwie (futurystach), o jej konkurentkach i rywalkach, z których niektóre, jak się okazało, są wprost urodzonymi kryminalistkami (jedna podobno nawet kleptomańska). Mistrz Ślaz robi jej portret jako Jessiki w tym „Geldhabie”. Stary Ramołyński znał osobiście Sarę Bernard za swoich dobrych czasów, więc dużo było mowy o niej. Syn Sary opowiadał Ramołyńskiemu, że jego dziadek pochodził z Polski, z Leszna na Górnym Śląsku, czy coś podobnego. Za niemieckich czasów nazywało się to Lissa. Miał tam sklep z gwoździami czy też aptekę, czy coś podobnego i dopiero na stare lata przeniósł się z rodziną do Francji. Sara, mając lat osiemdziesiąt, wyjeżdżała jeszcze do Ameryki na gościnne występy! 80 lat! I nie miała jednej nogi (prawej) i jednej ręki (lewej).

I to się nazywa płeć słaba, rasa słaba! Pisali jej takie role, żeby sobie cały czas siedziała na fotelu. I zarabiała po 200000 franków rocznie czy też miesięcznie! To jest energia i siła. **To jest rasa taka Sara!**

Tak, to jest rasa ta Sara!

Co my wobec tego? Dziwnym zbiegiem okoliczności Królikowskiej też na imię Sara, aczkolwiek oficjalnie, tj. na afiszach, nosi piękne i poetyczne imię: „Wanda”...

Wanda Królikowska.

Pojedynek Goryczki odbył się dziś rano w Konstancinie na tak zwanej Grapie. Nieszczęsny człowiek ma przestrelone bardzo ważne szczegóły. W Klubie ogromne poruszenie. Już

na obiad zamówiło się ze trzydziestu. Były zrazy zawijane z kaszą, makaron, naleśniki à la Popielka. Wrzało jak w ulu. Jedni twierdzili, że to powód do rozwodu dla Goryczkowej, ale mecenas z Miodowej zaprzeczył. Większość upiera się przy tym, że w pracy umysłowej nic to mu przeszkadzać nie będzie, gdyż „Dziennik Sarmacki” zawsze był od lat stu kurierkiem solidnym, ale i najlepszym środkiem nasennym w kraju.

Po południu wybraliśmy się do Goryczków gremialnie z kondolencyjną wizytą. Przyjęła nas tylko pani domu, oczywiście bardzo zakłopotana i spłakana. Skąd takie Grünspany mogą nauczyć się tak strzelać? Do czego to dojdzie, jak tak dalej pójdzie? Wieczorem w Klubie tak pełno, jak nie pamiętam od dawna. Na każdym stole było wino. Hałas, gwar, nawet ktoś usiadł do pianina i zagrał kilka walców z oper. Mówiło się oczywiście o dwóch sprawach, tj. o przestrelonych częściach Goryczki i o tych triumfalnych widokówkach idioty Hipcja z Paryża...

À propos tego drugiego kursują rozmaite legendy, ale nie wiadomo, co prawdy w tym...

W szpitalu Dzieciątko Jezus zmarł wczoraj na zapalenie opon mózgowych Ryszard Kołtoński, mój daleki kuzyn. Pracował całe życie nad takimi wynalazkami i trochę zbziczał na tym punkcie. Rok temu wynalazł jakąś „dynamomaszynę na prąd stały o wysokim napięciu”. Opatentował to podobno na Francję, Anglię i Niemcy. Potem znów wynalazł jakieś „pompy rtęciowe” czy coś takiego i znów opatentował na dziesięć państw. Belgijczycy założyli dla eksploatacji tego wynalazku z tymi „pompami rtęciowymi” duże konsorcjum. Kołatał i u nas do ludzi o pieniądze, ale nikt mu dać nie chciał.

Nasz człowiek był z duszą i kośćmi i do „Bergsohnów i Einsteinów” iść z tym nie chciał. Co jakiś czas mu tam ktoś z rodziny coś kapnął, ale jak zaczął fiksować zupełnie, to



trzeba było z nim zerwać zupełnie. Próbowałem w Klubie zainteresować tą jego „dynamomaszyną” kilku takich, co mają większą gotówkę, ale wszyscy wzruszali ramionami, radząc, żeby z tym jechał do Berlina, bo Niemcy na takie wynalazki chytre i łakome. Nie pojechał. W szpitalu, w ostatecznej nędzy przeleżał na ogólnej sali ze trzy miesiące. Te opony to bardzo ważna rzecz. Osiwiał podobno z bólu przez trzy dni. Posyłałem mu od czasu do czasu to i owo. Miał dwóch braci rodzonych, bardzo, bardzo bogatych w Kaliskiem, to ani jeden palcem nie ruszył. Przedwczoraj właśnie mu doręczyli telegram z Brukseli, że tam powstało takie „Société Anonyme” do eksploatacji tego wynalazku. Tak się tym nieboraczek przejął, że w godzinę był gotów. Może go tam i szkoda. Kto wie, czy w nim nie tkwił jakiś Edison polski, czy coś podobnego. Okropnie wiele ludzisków w ten sposób marnuje się u nas. Zdolny naród, ale jakiś ogromnie niezaradny i prawdę mówiąc może i zupełnie głupi.

Wieczorem mam seans spirytystyczny z nowym medium, świeżo odkrytym przez naszego Guzika. Będzie z osiem osób z naszych i z miasta i to poważnych dwóch lekarzy i księżę Jerzy, prezes „Ferro-polu”. Mam 300 akcji tego „Ferro-polu”, nie wiem, co z nimi zrobić. Może on mi poradzi.

Dziwny ból w lewym łokciu od samego rana... Może by tak jakieś prześwietlenie?

11 stycznia

Nędza rośnie, drożyzna się trzyma. Wiceprezes zamknął swoją fabrykę. Nikt szczotek elektrycznych nie kupuje, a jak tak dalej pójdzie, przestaną ludzie chyba w ogóle zamiatać.

Ślub bratanka Pocijowskiego jeszcze w bieżącym kwartale. Ale czy w synagodze, czy w kościele, nie wiadomo, aczkolwiek mówią, że panna jest już od dłuższego czasu

zreformowana.

Kamienicki twierdzi, że w jego kamienicy czterofrontowej ośmiuset lokatorów płaci razem tyle komornego, że mu to ledwie wystarcza na pensję dla szofera i na papierosy dla żony, dwóch córek i dwóch ciotek odchowiwanych w domu.

Ordynat Tarło, jadąc wczoraj na śniadanie do ambasadora tureckiego, zatrzymał karete, wysiadł z niej i z miejsca naciągnął naszego rejenta (o którym wie, że zawsze teraz nosi gotówkę całą przy sobie) na pięćset złotych ciepłą rączką.

Goryczce lepiej. Wobec tego, że jest postrzelony, rozprawa w sądzie odłożona.

Pani Hipciowa dostała telegram dzisiaj, że jej safandula wraca. A propos tego w Klubie wieczorem kursowały rozmaite koncepty, przeważnie bardzo pieprzne i niecenzuralne.

Od jutra będę chodził na te elektryzacje, na które także kilku z naszych uczęszcza. Może mnie to nieco postawi na nogi, gdyż czuje się w ogóle fatalnie. Jakaś ospałość, ociążałość, czczość, brak apetytu, brak snu. Nie jestem zresztą w tym odosobniony. Wszyscy nasi na to się skarżą.

Pułkownik mi mówił, że już od jakiegoś czasu nie ogląda się na ulicy za dziewczynkami. To samo prezes, to samo cały stół spod zegara od winta. Jakieś ogólne skapcanienie nas ogarnia.

Może sobie psa dog-germana kupię albo się ożenię z córką Wojciechowej, tą starszą. Zdrowa jak ćwikła, brunetka, z małą brodawką.

Tylko czy właściwie to by jeszcze sytuacji mi nie zagmatwało?

Dzisiaj przy obiedzie zgadało się coś o Hipciach. Był indyk z truflami, że palce lizać. Suflecik à la Kawecka. Butelka Rüdersheimera. W Klubie wszyscy wiedzą, że Hipcio

to ostatniej klasy pantoflarz, a ona podobno regularnie go bije we czwartki. Wobec tego profesor Pieterkiewicz, który od trzydziestu lat pisze dzieło o owadach, opowiadał nam ciekawe szczegóły o niejakej modliszce.

Ten owad jest unikatem, bo ma szyjkę. Inne podobno nie mają. Potem ma tak zwany „szczękorożek”, to jest rodzaj piły ząbionej. Samczyk tej modliszki jest bardzo mały, łagodny, cierpliwy, tchórzliwy i głupi. Samiczka olbrzymia i okrutna, i drapieżna. Otóż kiedy on się w niej zakocha, biorą ślub i miesiąc godowy trwa sześć godzin. Sześć.

Można sobie wyobrazić, co za sensację przy stole wywołało takie opowiadanie. Ale nie koniec na tym. Podczas nocy poślubnej modliszka-żona jednym cięciem tej swej piły odwała mu łeb, a on na to nie reaguje. Bez łba na karku kocha ją dalej. Teraz baba zaczyna go zjadać całego. Ale nie koniec temu. Ponieważ kilku modliszków czeka zwykle dokoła, więc modliszkowa zdradza go kolejno z innymi i zjada równocześnie kolejno jednego po drugim!

Równocześnie! Ładny okaz!

Wobec tego oczywiście się nie żenię. Każda kobieta ma w sobie coś z modliszki. Weźmy taką Hipciową na przykład. Od jutra szukam w „Kurierku” i w „Dzienniku”, czy kto nie ma psa, ale już wytresowanego do odstąpienia dog-germana! Może ratlerka?

12 stycznia

Wreszcie więc dostałem te wszystkie cztery adresy od „X”. A więc:

Doktor Woronow (Samuel Leonowicz) mieszka: Paris XVI rue Marquis de Sade, III etage.

Doktor Heluan Jaworski – Paris VI, 18 rue Ninon de Lanclos.

Prof. dr Siegfried Steinach – Wien, Mariahilferstrasse 32 (Mezzanin).

Wreszcie, co dla mnie najważniejsze. Dr Giacomo Caro, Firenze (Florencja), via Cristophoro Colombo 13 (w ogrodzie).

Jeżeli wszystko pójdzie po mojej myśli, to jadę w połowie lutego. Tak mi Panie Boże dopomóż.

Wesele młodego Pocijowskiego ze starszą „jedynaczką króla łoju” jeszcze w tym sezonie.

Pokazywali mi dzisiaj w „Europie” tę Myrtę F. Einsteiniankę, no i wyznaję szczerze, że wcale, wcale. Siedziała z kilkoma panami z dyplomacji i porucznikami z gwardii, tj. huzarami z pułku imienia Kozińskiego. Śliczne mundury, a chłopaki zdrowe aż miło patrzeć. Przede wszystkim nie nazywa się F. Einstein, tylko Einstein, ale ponieważ firma jest „F. Einstein i H. Bergsohn”, więc się utarło.

Papa panny zrobił fortunę na łoju i stearynie. Jest to dziś pierwsza w ojczyźnie i w państwie fabryka świec, od łojówek począwszy do gromnic włącznie. Jego wspólnik Bergsohn zaś zbił olbrzymi majątek na gałganach. Takie to są czasy. Podobno bardzo uczciwy człowiek. Ale bądź co bądź zrobił majątek na gałganach... Są skończone gałgany, które stają się Krezusami, spekulując na papierach giełdowych, a ten Bergsohn stał się Krezusem przez gałgany, z których robi się papier specjalny, podobno nawet pergamin (ośla skóra).

Kiedy to opowiadano w Klubie, literalnie nikt nie chciał temu wierzyć. Okazuje się, że na takich gałganach, szmatach, strzępach, co się je wyrzuca na śmieci, można zarobić kokosowe miliony! No, tylko trzeba się znać na gałganach, no i mieć ten taki spryt handlowy. No, a to znowu nie tak łatwo. Na to trzeba mieć w głowie dużo kombinacji i umieć kalkulować.

Prezes Pocijowski zapewniał dziś przy czarnej kawie, że dom Bergsohnów wywozi dziś z samej Warszawy miesięcznie do czterystu wagonów gałganów! A ile to jeszcze zostaje! Z każdego dnia przecież można by zebrać jeden wagon! Kiedy ten Einstein ożenił się z Bergsohnówną, oba interesy połączyli i teraz mają wielki Dom Handlowy na rogu Staszica i Traugutta (dawniej Berga i Kotzebue'go). Myrta jest blond, jasny blond. Włosy przystrzyżone „à la Garçonne”. Podobno nie pali i nie pije, a jednak konno jeździ tak ślicznie, że wszyscy dżokeje kochają się w niej na zabój, ale podobno wielu bez powodzenia.

W „Europie” jadłem doskonałego karpia w śmietanie. Nawiasem mówiąc, jutro robię awanturę w Klubie kucharzowi.

Jak rok długi, tak u nas nigdy ryby nie zobaczy! Ani à la carte! Tyle co w dzień wigilijny. Albo śledzie do wódki czy piklingi lub rolmopsy! Nie jest to też skandal? „Koło Racjonalnego Rybołówstwa” i tylko mięsożerstwo! Nigdy ryba! Nawet na lekarstwo!

Wandzia Królikowska mówiła wtedy u siebie, że najślawniejszy angielski komediopisarz Bernard Shaw (po polsku Owca) był do śmierci jarozsem. A podobno jeszcze żyje, choć bardzo stary, ale jary. Skądinąd wiem z jednej książki o wegetarianizmie, że angielski kanclerz i filozof Bacon z Werulamu (Bacon to Słonina), choć „Słonina”, a jadał wyłącznie ryby i tylko w dzień śmierci zjadł beafsteak z rożna i umarł.

W ogóle Anglicy zjadają bardzo dużo ryb gotowanych i surowych i w każdej rodzinie jeden zostaje jarozsem. U „naszych” także.

Może stąd mają taki spryt do geszeftów?

Może to nałogowe mięsożerstwo w naszym Klubie wpływa tak jakoś na to zwapnienie mózgow, bądź co bądź

przedwczesne?

Hipcio telefonował! Wczesnym rankiem już przed dziesiątą! Coś niesłychanego! Jakimś głosem rześkim, młodzieńczym, energicznym.

Skąd mu się to wzięło? Co za nowa moda? Nigdy tego nie bywało. Czy mu ten Paryż tyle dodał wigoru? Ale przecież tyle razy tam jeździł i nigdy w Paryżu nie zrobili z tego owsa ryżu. Zawsze wracał jeszcze większym kapcanem.

Zajadę do Klubu wcześniej, żeby się wywiedzieć, kogo to jeszcze nasi Hipciowie zaprosili.

W Klubie natknąłem się dziś zaraz na homeopatę z ulicy Orlej (którą teraz przemianowali na Sepią). Korzystając z okazji uciałem sobie z nim rozmówkę, taki gratisowy wywiad lekarski. Co teraz brać? Przez ostatnie lata zjadłem chyba pół cetnara „Fitiny”, beczkę „Haemetogenu”, kilka kilo „Piperasiny”, worek mączki Nestla, gašior „Hemogenu”, głaż arseniku, ostatnio pijam kuflami „Motofer”, tak jak wielu z nas w Klubie. I jakoś mi to wszystko nie pomaga.

Homeopata radził, żebym dużo chodził piechotą w Aleje tam i z powrotem, od placu św. Aleksandra Drugiego do Belwederu tam i z powrotem ze cztery razy, to po miesiącu będę się czuł jak nowonarodzony podrzutek. Idiota! W ogóle te homeopaty to kretyny. No, a już ten nasz, to oczywiście kwadratowy i patentowany.

Po obiedzie wszyscy mówili o podatkach i braku gotówki. Jest to już chroniczny temat gadaniny po jedzeniu. Ludziska irytują się, wpadają w szewską pasję, a to podobno dobre dla konkokcji żołądka i pomaga w trawieniu. Zaczyna zwykle gładzenie któryś z byłych ziemian wysadzonych na bruk. Mamy takich dziedziców akurat tuzin, samych Ramołyńskich trzech.

Hipcio całe dwa dni nie pojawiał się w Klubie. Na czwartek proszeni do niego: prezes, wiceprezes, generał, trzej

Ramołyńscy, mistrz Śláz, profesor Pieterkiewicz, ordynat Tarło. Co to wszystko ma znaczyć? Co Hipciowi znowu do głowy strzełiło? Skąd takie rewolucyjne pomysły? Co to za nowe zwyczaje? Odkąd najstarsi członkowie pamiętają, było zwyczajem „Racjonalnych” na śniadanie prosić, ale tylko do Klubu. Jeszcze od czasów Hurki i Marii Andrejewny!

W Klubie krążyły wieczorem na ten temat różne wersje i pomysły. Niektórzy twierdzą z uporem, że Hipcio naprawdę przeszedł w Paryżu to, o czym mówił przed wyjazdem (czyli kuracje Woronowa).

Ano dzisiaj wszystko jest możliwe na tym świecie. No, ale żeby na Nowym Świecie u nas wkradały się takie nowalie, to już rzecz niesłychana!

Czytałem taki anons dzisiaj:

„Pasy X” po 80 złotych. „The Barlow Company” New-York 4-th Avenue. Kupić można w „Maison aux Quatre Saisons” na ulicy Berga (którą przezwali teraz jakoś inaczej, ale nie można tego zapamiętać, bo 3000 ulic tak przechrzcili i przebierzmowali. Skąd my, warszawianie, możemy dziś zapamiętać te wszystkie nowe nazwy?).

Podobno po noszeniu takiego pasa przez jeden tylko miesiąc najgrubszy mężczyzna wraca do normalnej figury. Taki pas usuwa zbytnie tkanki tłuszczowe i zastępuje masaż. Żaden Karlsbad wtedy ani żadne sporty niepotrzebne.

Jutro rano zajdę do „Maison aux Quatre Saisons” i zafunduję sobie. Podobno wszyscy paskarze już noszą takie paski. Ja choć ani z paskiem nie mam nic wspólnego, ani głowy do interesów żadnej, ale tuszę już mam przedwcześnie niemożliwą, więc tuszę, że na moją tuszę się przyda. Jeżeli promienie X okazały się tak skuteczne, to chyba i pasy X także?...

Aha. Jeszcze jedno. 30 członków Koła zalega ze składkami. Signum temporis...

Jeszcze jedno. Odkryłem w szafie bibliotecznej u siebie cztery pudełka „Fosfatyny” Faillere'a, kupione jeszcze przed wojną. Zatem już chyba nieświeża. Zresztą biorę teraz tylko neo-Fosfatynę. Dwa dam w prezencie profesorowi Pieterkiewiczowi, a dwa Wojciechowej na imieniny.

13 stycznia

W łaźni rzymskiej jak zawsze tradycyjnie w każdą środę przed 15-tym i ja zawsze z profesorem Pieterkiewiczem. Bądź co bądź co tu gadać, jeszcze on z całej kompanii klubowej najinteligentniejszy, najwięcej czyta gazet, no i nawet książką się nie brzydzi jak inni. Choć goły jak święty turecki, a biedny jak mysz kościelna, jednak czasami kupuje książki. **Kupuje!**

Toteż przy wycinaniu nagniotków rozmawiało się o tym i owym. Bardzo ciekawe detale o przyszłych teściach młodego Pocijowskiego (firma F. Einstein & H. Bergsohn). Okazuje się, że mają w Europie wielkie koligacje w uczonym świecie. Jeden z F. Einsteinów i jeden z Bergsohnów są podobno znakomitościami, filozofami takimi jak Sokrates. Nie będę tego umiał powtórzyć, ale poczciwy Pieterkiewicz wykladał mi to szeroko i długo, jakby łopata. Żeśmy atoli siedzieli w bademantlach, więc nie miałem notesika pod ręką i nie mogłem notować sobie, jak to mam w zwyczaju. Podobno nawet **sfilmowano** jedno dzieło któregoś z nich, ale którego, to już nie pamiętam. Dosyć, że panna Myrta ma w rodzie po obu spółnikach znakomitości wszechświatowe. Być może, że z Paryża i Einstein, i Bergsohn na wesele przyjadą! Można jeszcze sobie wyobrazić, jaki teraz Pocijowski będzie chodził nadęty. Otóż jeden z tych dwóch Feinsteinów podobno (jak mówił profesor) „zgalwanizował metafizykę”, a drugi wynalazł „prawo bezwzględności” czy coś takiego. Dziś są tak sławni, że do którego by hotelu i do którego by miasta



zajechali, zaraz o tym dziennikarze wiedzą i piszą tak, jak o Battistinim czy Cyganiewiczzu. Przy tej okazji atoli Pieterkiewicz wyznał mi, że w ogóle teraz filozofia jest specjalnością tych dwóch rodzin i ich bliższych i dalszych krewnych. I wymienił mi cały szereg nazwisk takich filozofów, co po prostu żyją z tego, z tych abstrakcji i to dostatnio, i nawet majątki robią i w pierze, i sławę obrastają.

Okazuje się, że ten profesor Steinach jest uczniem i następcą, czyli jak mi mówił Pieterkiewicz, tak zwanym kontynuatorem tamtego filozofa Einsteina. Kiedy bowiem ten Einstein odkrył tak zwaną **teorię względności** (!), co znaczy, że wszystko jest względne (RELATIWUM), a nic nie ma bezwzględnego, Steinach dalej tę metodę zastosował do wieku ludzkiego. Nie ma bezwzględnej starości ani bezwzględnej młodości. Można być młodym jak ćwik, a już zdradzać początki niekompetencji i impotencji, a znowu można być starym jak grzyb, a przeprowadziwszy kurację odpowiednią (bezbolesną!) na nowo czuć się jak nowonarodzone źrebie. Co tedy Einstein zaczął, to Steinach dokończył, czyli że razem się nawzajem niejako uzupełniają, kompletują (EINSTEINACH).

Będę sobie tedy musiał **przedtem** zakupić wszystkie dzieła naukowe jednego i drugiego, żeby je sumiennie przestudiować.

Wieczorem tegoż dnia

Niestety, wieczorem przerzynałem 30 złotych. O zakupie książek ani już marzyć.

14 stycznia

Jest godzina 1-sza w nocy. Przed chwilą wróciłem z Klubu i zapisuje przed spaniem. Tylko czy ja będę mógł spać

w ogóle? Wezmę ze trzy proszki bromu, a oprócz tego nogi w gorącej wodzie wymoczę, to może jednak zasnę. Wojciechowa grzeje mi wodę w wannie. Ja piszę. Ale zacznę *ab ovo*. Chaos wrażeń jest tak olbrzymi, że muszę od początku wszystko zanotować od samego dzisiejszego poranka. Coś zupełnie niezwykłego i niespodziewanego. Jestem pokonany, zdruzgotany, oszołomiony... Byłem jako ten niewierny Tomasz. Kpiłem! Szydziłem! Nie wierzyłem! A jednak dziś się przekonałem! Widziałem na własne oczy!

Wstałem w samo południe. W łóżku czytałem sobie, jak zwykle, mego Spenglera, ten „Zmierzch Zachodu”. Pożyczyłem to sobie od Kanonika trzy lata temu i odtąd co dzień rano po białej kawie czytam i czytam, właściwie już trzeci rok w małych dozach homeopatycznych, żeby wszystko zrozumieć. I już dobrnąłem omal do samego końca. Jeszcze mam ze 200 stronic. Dlatego to czytam, żeby po prostu dać przykład innym w Klubie, że trzeba coś czytać poważnego. W Klubie to wiedzą już od dwóch lat. Dawniej to nawet imponowało. I interpelowano mnie często w materii „Upadku Zachodu”. Teraz już się z tym otrzaskali i rzadko kto zwraca się do mnie z zapytaniem: „A co tam z Europą, panie Kołtoński?”.

Głupawy Hircio doszedł do tego, że kilka razy pozwolił sobie na aroganckie kpinki z mojej uczoneści.

Ale nie uprzedzajmy wypadków.

Krawat wziąłem, na to paryskie śniadanie, paryski. Kilka kropel „Houbiganta” na chusteczkę. Wyglądałem w lustrze tip top. Tylko cera jakoś, jak zawsze w ostatnich czasach, niemiła i plamista. Wpół do drugiej byłem już na miejscu.

W salonie goście zebrani, ale obecna tylko pani domu, jakaś dziwnie rozpromieniona, podniecona, pewna siebie, wesoła. „Kompozytora” nie było. A trzeba tu przyznać, że w ostatnim kwartale „przyjacielem domu” Hircia („rogacza

niewspaniałego”) był jakiś stroiciel fortepianów, który się zainstalował do nich na stałe, stroił fortepian chyba trzy razy na tydzień i został awansowany na „kompozytora”, o którym się mówiło, że będzie drugim Moniuszkim albo nawet Karasińskim!

Rozmawialiśmy już z kwadrans o pogodzie i o podatkach, o Pocijowskich i o Klubie, o karnawale i o **stabilizacji stagnacji**. Już zaczęliśmy się niecierpliwić coś niecoś, że gospodarz nie zaczyna się zjawiać, kiedy nagle drzwi od gabinetu otwierają się zamasyście i szeroko. I w drzwiach staje Hircio i nie Hircio, on i nie on. Matołowicz, a nie Matołowicz!

W tym momencie pani domu, cokolwiek zażenowana, wstała...

...Panowie pozwolą, że na chwilę zajmę się jeszcze gospodarstwem i zostawię was z Hirciem... Zaraz siadamy.

...Ależ prosimy...

I tylko dzięki temu, że zostali w salonie sami mężczyźni, rozmowa mogła teraz potoczyć się swobodnie. Przed nami stał Hipolit odmłodzony! O lat najmniej piętnaście. Rześki, smukły, sprężysty.

Ze zgarbionego, zgiętego w kolanach, limfatycznego, skrofulicznego, kaprawego Hircia – jakiś bokser czy harcerz, marynarz czy cowboy.

Posypał się grad pytań i na te pytania tysiące odpowiedzi. Potem, oczywiście, daliśmy mu uroczyste słowo honoru, że nic z tego, co nam zwierzył i z czym nam zaufał, nie dostanie się na zewnątrz.

Nawet w Klubie.

Tyle tylko można wyjawić na razie, że doktor Woronow nazywa się właściwie doktor Samuel. Zabiegi trwały dwa tygodnie. Dr Samuel o wiedeńskim profesorze Steinachu mówi jako o szarlatanie, natomiast o profesorze Einsteinie

wyraża się z szacunkiem. Tylko znów filozof Einstein podobno wyraża się o fatalnie o doktorze Samuelu, ponieważ jego „teoria bezwzględności” zestarzała się już tak przez kilka lat, że ani Steinach, ani Woronow nawet nie zdołaliby jej odmłodzić.

Na śniadanie był barszcz i dwa dania rybne. Turboty w sosie astrachańskim. Jarzabki à la Grande Duchesse. I maleńkie kotlety z mózdzku. Po prostu więc śniadanie postne, choć to czwartek, a nie piątek. Były i toasty. Sautern. Dziś jestem tak zmęczony, że dalej pisać nie mogę. Bromu nie wezmę.

W cztery dni później

„Sprawa Kolumba”:

Specjalnością kucharza w Klubie, jak wiadomo, są także jajka faszerowane, jajka sadzone w majonezie i jajka „à la Columb”.

Wymyślił to podobno kiedyś któryś z wielkich książąt, Włodzimierz Konstantynowicz czy też Borys Cyryłowicz. Stawiane są sztorcem w majonezie z kaparkami.

Dało to powód dzisiaj do wielkiej dysputy przy kolacji, jakiej właściwie narodowości jest odkrywca tamtego wielkiego „Nowego Świata”. Jedni twierdzili, że Włoch, inni, że Portugal, inni, że Hiszpan. Redaktor Goryczka, który się już wylizał z pojedynku, ale chodzi o lasce, wystąpił z hipotezą, że Columb to po prostu „Gołab” („Gołomb”), ergo, że musiał być polskiego pochodzenia z gatunku tych podróżników awanturników, jak pan Pasek lub pan Beniowski. Hipotezę tę podtrzymuje głównie to, że pieniądze na podróż swą wypożyczył od starozakonnych, tak jak to praktykował każdy szlachcic polski. Znane są nawet nazwiska tych Feinsteinów, co Kolumbowi pieniądze na tę eskapadę awanturniczą pożyczyci.

Tymczasem młody Pociejowski, bratanek prezesa (ten z MSZ, co się żeni z panną Myrtą Feinsteinianką), a który wczoraj był pierwszy raz w Klubie, wystąpił bardzo śmiało i stanowczo z całkiem nowym odkryciem. Że zaś ma wielką swadę, erudycję i wiedzę, to nas wszystkich przekonał. Jest to podobno pogląd uczonych francuskich i hiszpańskich. Ponieważ zanotowałem sobie wszystko, co Pociejowski junior rozpowiadał, przeto teraz to sobie uwieczniam w sztambuchu. Otóż genialnemu odkrywcy Ameryki na imię było Cristobal, a nie Krzysztof, a nazywał się nie Kolumb, tylko Colon di Fonterosa. Ani nie był Włochem, ani Genueńczykiem, tylko po prostu Galicjaninem. Pochodził z Galicji (Galilei). Od tego czasu też się mówi : „Galiziane vincisti!”

Już to trzeba przyznać, że te Galicjany to zdolny szczep. Nawet Amerykę potrafią odkryć. Co się dziwić, że u nas w Polsce tak za łeb wszystkich wzięły. Był więc Columb „Galeyo” i nawet jeden okręt sobie nazwał „El Galeyo” – znaczy Galicja. Pochodził z miasta „Ponte Verde”, ale się wstydził tego, bo Galicjany tamtejsze miały też złą markę w Hiszpanii i w Portugalii. W jego listach i dokumentach pełno jest galicjanizmów. Zaś matka jego była z domu wyznania mojżeszowego, jak wszystkie Fonterosy. Stąd na portretach niektórych podobny jest do jednego z F. Einsteinów czy Bergsohnów.

Od Kolumba się dysputa zaczęła. Ale kiedy Pociejowski z bratankiem wyszli, potoczyła się rozmowa o mieszanych małżeństwach w ogóle. Czy przynoszą szczęście i jakie potomstwo z tego, czy co warte, czy nie? Wyliczono wszystkie figury w Warszawie i w Polsce, i w Galicji z mieszanych małżeństw, z czego dużo jest potomków zdolnych, ale dużo i degeneratów, i utracjuszów.

Po matkach mają zmysł do geszeftów, bankowości, kombinacji, ale potem po ojcach odzywa się sarmacka

lekkomyślność i wszystko, co zarobili, puszczają. Dużo też takich, co są i bardzo zdolni, a trzeba przyznać, nie hulaki. Wyliczali cały szereg nazwisk takich, co są z matki „Fonterosy” i w życiu publicznym mają takie oryginalne idee, jak ten Kolumb ze swym jajkiem. Dużo było wczoraj o tym gadania w Klubie do późnej nocy. Nawet bridge'a sobie przerwali niektórzy, bo temat ekscytujący i aktualny.

Morał taki, że jak my nie będziemy mieli w sobie zmysłu do geszeftów, do wielkich geszeftów, to przepadniemy. Bo z Niemcami konkurencji nie wytrzymamy, no i najmiłsi nas zjedzą w kaszy. Trzeba więc w sobie, w narodzie, w społeczeństwie, w młodzieży wyrabiać ten zmysł do geszeftów! Ale jak? Gdyby matka Kolumba była rodowitą Hiszpanką, taką sobie po prostu „Carmeną” z opery, to by może Ameryka dotychczas była zakryta, bo rasowe Hiszpany to też podobno ostateczne kapcany (oprócz Galeyów – Galicjanów).

W głowie mi się mąci od rozmaitych myśli i pomysłów, i wątpliwości, i kwestii, i problematów. Trzeba będzie wrócić do fosfatyny, bo to dobrze robi na mózg. W ostatnich tygodniach niepotrzebnie piłem tę „emulsję tranową” i to mi się, zdaje, na głowę rzuciło.

Homeopata zachwala „Jecorol”.

Pojutrze wybory doroczne do wydziału „Koła”.

Na wiceprezesa kandyduje (jak dziś oficjalnie stało w „Dzienniku Sarmackim”) „nasz znany i wybitny przemysłowiec p. Hipolit Matołowicz”.

18 stycznia

Podobno Mussolini jest też z „naszych” najserdeczniejszych. Papa jego zwał się Benjamin Mauzel i był z Brodów. Tak pisze „Journal de Cairo”. Mówił nam o tym Ramołyński. Jemu mówiła Wanda Królikowska (nasza

Sara Bernhard), która w ogóle starego hreczkosieja jak może, tak we wszystkim kształci i cywilizuje.

Jutro jej premiera. Jedziemy oczywiście wszyscy, całe „Koło Racjonalnego Rybołówstwa”.

Gra „Lanawę”, tytułową rolę w sztuce tego Rappaporta (d`Annunzia) „Okręt” .

Ramołyński zmobilizował na premierę nawet kilku naszych admirałów bezrobotnych, a marynarze na balkonie będą robili klakę. Co to z takiego sarmatołka zdołała wykrzesać taka Sara z takiej rasy.

19 stycznia

Wiceprezesem wybrany Hircio, jak to mówią, druzgocącą większością i przez aklamację.

Zaraz po elekcji wygłosił mowę.

Jak Klub Klubem jeszcze czegoś podobnego nie słyszano. Szkoda tylko, że nie było stenografa albo gramofonu, albo sejsmografu.

„Przyjmuję”, „dziękuję”, ale kondycyjne.

Tak dalej iść nie może... A to, żeśmy się zasklepili. A to, że jako żółwie w skorupie („że zamknięty w skorupie niewygodnie siedział, żałowała mysz żółwia”). A to, że odgraniczyliśmy się od świata, od „Nowego Świata”, od ludzi, skostnieli, skiśli, zdziwaczeli. A to, że to istny „Klub Pickwicka”. A to, że czas otworzyć wszystkie okna na powietrze. Nowych ludzi wprowadzić albo zamknąć budę i zlikwidować. „Ekskluzywizm nasz doprowadziliśmy do absurdu”... Jesteśmy jako więdnące drzewo o schnących gałęziach. Dokoła przewala się pieni, parska życie spotęgowane, ludzie robią interesy, spółki, jeżdżą, wracają, budują, a my tylko z kapitałów, z procentów, z papierów.

Musimy zmienić statut Klubu, zaagitować, rozszerzyć

się, zająć się „problemami” ogólnymi itp., itd. i etc.

Z nowych gier musimy wprowadzić belotkę i winchestera (z paniami).

Można sobie wyobrazić, jakie wrażenie zrobiła ta bomba. Do głosu zapisało się czternastu mówców z miejsca. Walne zebranie (po raz pierwszy od stu lat podobno) trwało siedem godzin z rzędu. Głównymi mówcami opozycji i contra byli redaktorzy Goryczko i Żółzikiewicz z „Dziennika Sarmackiego”.

Jestem dziś tak zmęczony wrażeniami z całego dnia, że już więcej pisać nie mogę.

Wziąłem proszek bromu i kładę się spać.

Jutro dopiszę. Do Florencji zdecydowałem wyjazd na 15 lutego, nieodwołalnie, nieodwołalnie.

20 stycznia

Od rana lekka migrena. Ale bo też co człowiek przeżywa w tych czasach. Najpierw te podatki bez przerwy, co tydzień nowy. Wnet będzie podatek od spania, podatek od mebli, podatek odchodowy. W każdym mieszkaniu będzie w odpowiedniej ubikacji taki „licznik”, który będzie ważył: ile? I stosownie do tego po miesiącu: płąć, bracie!

Teraz ta afera w Klubie. Przedwczoraj już nie mogłem dokończyć relacji o niej w „Pamiętniku”.

Otóż, kiedy swą świetną, co tu gadać, porywającą mowę skończył nowy prezes Matołowicz, do głosu zapisali się od razu obaj Dioskurowie z „Dziennika Sarmackiego” – Goryczka i Żółzikiewicz. Goryczka miał z alternacji wypieki i jąkał się w obrzydliwy sposób:

„Żadnych zmian, żadnych innowacji! Tak ma być, jak było za dawnych (ruskich?) czasów”. Jak zawsze jadowity i cierpki pozwolił też sobie na aluzję co do tego, że cała ta



filipika za odmłodzeniem Koła ma źródło mętne, bo co tu owijać w bawełnę, w tym głównie, że Matołowicz przeszedł w Paryżu kurację doktora Woronowa.

Na to ozwały się zewsząd głośne protesty, aby nie mieszać się do życia prywatnego prezesa, a Pieterkiewicz słusznie wyraził się, że niejednemu z naszych w ogóle bardzo przydałaby się taka kuracja. Goryczka wziął to oczywiście do siebie i wczoraj wysłał profesorowi sekundantów. Stąd sprawa honorowa, a dzisiaj sąd polubowny.

Piszę to rano. W południe pierwsza sesja w tej sprawie w redakcji „Dziennika Sarmackiego”.

Jestem jednym z mandantów po stronie Pieterkiewicza. Superarbitrantem jest mistrz Śláz.

Drugim po naszej stronie Ramołyński, ale Wiktor (nie ten od Wandzi Królikowskiej, tylko ten nasiennik – ma skład nasion pastewnych i okopowych), ale mu fatalnie idzie, bo o handlu wyobrażenia nie ma i nigdy w swej firmie nie bywa.

W południe był „X”. Poczęstowałem go najlepszym cygarem, jakie miałem jeszcze w hamburskim pudełku. Jest on w stałej korespondencji z Paryżem, z Wiedniem i z Florencją. Studiuje wszystkie trzy systemy, ale stanowczo upiera się przy tym, że system jego szwagra, doktora Caro, jest najlepszy. Nawiasem mówiąc muszę się nieco wziąć do antropologii i anatomii, bo właściwie nic się na tym nie znam. Strawiłem trzy lata na czytaniu „Zmierzchu Zachodu”, a to właściwie psu na budę i niepotrzebny wydatek. Jutro sprzedam Spenglera, a kupię jakiś podręcznik anatomii, tym bardziej, że już „pasa X” nie kupuję, gdyż wczoraj mierzyłem się w pasie i już straciłem dwa centymetry przez te zgryzoty i podatki (w czerwcu miałem 120 centymetrów, a teraz 114).

Ale wracajmy do „X-a” i do tego, co mi powiedział.

Otóż cały wynalazek polega na tym fundamentalnie, że składniki krwi są takie same u małp, jak u ludzi. Bywa nawet,

że małpy z bardzo starych szczepów mają krew niebieską, względnie niebieskawą, w żyłach. Do naszych celów służą orangutangi, szympansy, gorillas, pawiany, hamadryjasy i najbardziej Uistiti (U.I.S.T.I.T.I.). We Francji, według tamtejszych praw, nie wolno nic a nic brać z organizmu drugiego człowieka.

Wobec tego stary Woronow musiał się ograniczyć tylko do pawianów, które sprowadza się z krainy Kafarów. Próbowano i z Kafarami samymi, ale wypadło gorzej (choć taniej). Przeciętny normalny pawian kosztuje, wedle ostatniego notowania, do 15000 franków francuskich (szczęśliwie, że nie szwajcarskich). Roślejsze i inteligentniejsze typy dochodzą do 30000 franków bez porta i opakowania. Otóż metoda wiedeńsko-austriacka polega na transplantacji (przeszczepianiu), tak, jak się przeszczepia gatunki drzew owocowych, jak na przykład gruszki można zaszcześcić nawet na pewnych odmianach wierzby, tak samo przeszczepia się tak zwane glaudes (GLAUDES), czyli gruczoły.

Dzwonek od frontu. To pewnie sędziowie w aferze Goryczka – Pieterkiewicz.

Muszę pisanie przerwać. Wieczorem dokończę.

21 stycznia

W południe z W. Ramołyńskim w redakcji „Dziennika Sarmackiego” na Pradze.

Ramołyński za swoich dobrych czasów (jako rotmistrz w keksholmskim pułku huzarów) był podobno raz z wizytą w redakcji „Birżewych Wiadomości” [Właścicielem „Wiadomości giełdowych” był S.M. Proper, który nie władał dobrze językiem rosyjskim, przybył bez grosza do Rosji, ale później stał się członkiem Rady Miejskiej w Petersburgu (Igor Szafarewicz – Trzytysiącletnia zagadka) – dodał skryba] lat

temu ze trzydzieści i w Paryżu raz w redakcji „Figara”. Teraz po raz pierwszy w redakcji sarmackiej. Po wizycie mówił mi, że czegoś podobnie niechlujnego jeszcze w życiu nie widział. No i ja po prawdzie także.

Już w kantorze, na dole, gdzie pytaliśmy, jak się idzie na górę, śmierdziała kapusta kiszona i chloroform, i paskudne jakieś krople na zęby. Stara wiedźma za kratą w kantorze, z gębą obwiązaną brudnym ręcznikiem, przyjęła nas jak psy dziada w ciasnej ulicy.

W sieni, na dole, kupa śmieci, z prawej sterta końskiego łajna. W drzwiach szklanych od schodów obie szyby wybite, zaklejone zatłuszczonymi papierami. W klatce schodowej smród od kleju i dziegciu, a schody pełne psich pamiątek od kilku dni nieusuwanym.

Dzwoniliśmy dobre pięć minut, nikt nie otwierał. W antresoli woźny głuchoniemy. Gaz się niby pali, ale ciemno i nowy smród: koci, wyraźnie koci! Ponieważ woźny ziewa i nie myśli nas meldować, więc włączymy sami, nie rozbierając się, w futrach.

Wchodzimy w jakieś spelunki ze samych przepierzeń drewnianych. Duszno, że siekierę byś powiesił. Z lewej i z prawej strony jakieś budki, sklecone jak kuczki lub szalety. Na ścianach brudnych i zapstrzonych nalepione na tapetach napisy: „Módl się i pracuje” (sic), albo „Społem i z Sokołem”, albo „Niech żyje Konstytucja Marcowa”. W półcieniu i zaduchu ujrzeliśmy jakieś bujnie owłosione stwory, siedzące przy stołach i machające olbrzymimi nożycami lub wygniatające sobie nawzajem wągry z nosów.

Na grzeczne zapytanie „Gdzie pan redaktor?” jakiś przedziwny kaktus na głowie jak arbuż uprzejmie wskazał kłykiem: na prawo, potem w bok, znów prosto i na lewo. Wiktor Ramołyński wyciągnął chustkę mocno uperfumowaną i trzymał chronicznie przy nosie, trzęsąc się z odrazy.

Weszliśmy w nowy labirynt przepierzeń i kurytarzyków, potknęli się o jakąś balię, w którą łapano wodę przeciekającą z sufitu i wreszcie dobrnęliśmy do nory, na której drzwiach wydrukowano (zdaje się błędnie): „Gabinet Redagтора”.

Niedługo a łagodnie przeszła dyskusja wstępna. Spieszyliśmy się, gdyż dłuższy pobyt w tym sanktuarium opinii publicznej groził mdłościami. Aczkolwiek bowiem w rogu wisiał święty obrazek i pod nim paliła się lampka oliwna, to jednakże dym z papierosów i zaduch wydzielin był tak skondensowany, że oddychanie stawało się wprost torturą.

Nie! W lokalu tak „zorganizowanym” nie można pisać ani optymistycznie, ani altruistycznie, a tylko żółciowo i z pasją do świata i ludzi. Toteż Ramołyński naprzód poprosił stanowczo o otwarcie okna (choć był mróz), a dopiero potem wszczęliśmy sprawę omal na mrozie.

Mówił Ramołyński, a ja wodziłem okiem po brudnych i tu, i ówdzie porozdzieranych tapetach, na których pluskiewkami poprzyszpilano do ściany popluskwione, a drukowane na papierze, kolorowe wizerunki świętych pańskich; obok Bartosza Głowackiego wisiał brodaty Kraszewski, a tuż nad głową Goryczki:

„Książę Józef Poniatowski tego panny kropił,  
a tylko bieda, że się nam utopił”.

Na energiczne nasze zapytanie, czy chciał obrazić prof. Pieterkiewicza, odparł Goryczka równie energicznie, że to bynajmniej nie leżało w jego intencji. Gdy atoli przy tej okazji znów złośliwie zaczął w ogóle oba systemy, i doktora Woronowa, i prof. Steinacha, wtedy ja już zabrałem głos i najstanowczej zaprotestowałem przeciw bagatelizowaniu i ośmieszaniu wiedzy nowoczesnej i wyników postępowej antropoterapii. Zanadto jestem w tym już osobiście zainteresowany i uświadomiony (przez „X-a”), żeby pozwolić laikom na bagatelizujące wyrażanie się o naukowych

metodach odmładzania...

Po czym szybko doszliśmy do porozumienia i ugody. Goryczko ma Pieterkiewicza przeprosić. Przy pożegnaniu sam coś bąkał, że kto wie, czy i on w tych czasach nie wybierze się do Wiednia...

Wieczorem mieliśmy premierę tego d`Annunzia (Rapaporta?) z Wandzią Królikowską w tytułowej roli.

Bez muzyczki to jest i wszyscy mówią do siebie białym wierszem. Lubię od czasu do czasu „barszcz zabielały”, ale biała deklamacja mnie usypia. Klub był w komplecie i w smokingach, bractwo ziewało co się wlezie, ale brawo było na wyścigi i wywoływaniom i owacjom nie było końca. Nieco niefortunnie wyrwał się homeopata, który krzyknął po ostatnim akcie: „Niech żyje nasza Sara!”. Myślał oczywiście o tej Sarze Bernhard, ale bywalcy wzięli to za demonstrację Sarmatów przeciw tragiczce i nagadano mu przygodnie co nieco impertynencji.

22 stycznia

Wyczytane w „Dzienniku Sarmackim” (z „Jüdische Presszentale Zurich”). W nr. 309 podają następującą depezę z Warszawy:

„W ostatnich czasach coraz częściej zgłaszają się w rabinacie warszawskim chrześcijańskie prośby o przyjęcie ich na judaizm. W ostatnim miesiącu liczba ich wynosiła 35-ciu, wszyscy chętnie poddali się operacji obrzezania. Rabinat przyjmuje już wyłącznie tych, co do których stwierdzono, że ich przejście na judaizm płynie z najgłębszego przekonania”.

Tak pisze nasze piśmko.

Zresztą czyta się o tym i gdzie indziej. Trzydziestu pięciu w jednym miesiącu i to tylko w Warszawie? To nie jest dobrze chyba? Podobno przeważnie z miłości. Zakocha się taki w Esterce i poddaje się z miłości bolesnej operacji. Czy to ma

sens jakiś? No, oczywiście, że żadnego. A z czasem może się to rozszerzyć w stolicy i w kraju na jakąś kolektywną modę, tak jak „Ja-wa” lub mah-jong. Taki jeden z drugim myśli, że jeśli wejdzie między wrony, będzie spryciarz jak i one, i jeżeli będzie z nimi obcował na co dzień, to zmądrzeje i nabierze ich genialności w geszeftach. Tymczasem to iluzja. Tą drogą nic nie wskóra. Wprost przeciwnie, bywa, że normalny Bergsohn czy Feinstein jeżeli przebywa i przesiaduje za często wśród czystych Sarmatów, to w dość szybkim tempie wiednie i tumanieje. Ile tego przykładów! Ale czy nasz Lechita przez samą operację obrzezania już zmądrzeje? Oto jest pytanie! Jak mawiał Hamlet!

Nie tędy droga, rodacy kochani! Ani przez promiskucję w małżeństwach mieszanych, ani przez progeniturę mieszaną, ani przez obcinanie, ani przez redukcję.

Ja, tylko ja... Tymoteusz Kołtoński znam właściwą drogę do:

- 1) Odmłodzenia Sarmatów
- 2) Położenie kresu chronicznej nieproduktywności słowiańskiej.

23 stycznia

Piszę w południe. Rano w łóżku nie czytałem już jak zwykle tego Szwaba Spenglera, tylko sobie rozmyślałem nad tym wszystkim, co zaszło w ostatnich czasach.

Wczoraj wyjechali do Paryża dwaj członkowie „Koła Racjonalnego Rybołówstwa”, to jest Safian Dulski i Ferdynand Otto Sztumpf (młyny parowe na Pradze i na Starym Bródnie), dla przestudiowania tamże na miejscu organizacji i życia wielkich klubów paryskich. Wyjechali oficjalnie z ramienia wydziału.

W Klubie już zawiąły nowe prądy co się zowie.

Wczoraj, wbrew statutowi, było kilka pań wieczorem i przy dwóch stolikach grano w winchestera i w ping-ponga. Jedna z tych pań jest posłem do sejmu czy senatu, druga docentem astronomii czy astrologii na uniwersytecie.

W mah-jonga grano już przy dwóch stolikach.

Szefa kuchni zmuszono, żeby i w południe, i wieczorem bywały przynajmniej dwa dania rybne, szczególnie łosoś.

Portier Wąsik wreszcie musiał wdziać nową liberię, którą mu sprawiono pięć lat temu.

Pajęczyna w bilardowej sali, w rogu nad obrazem Żmurki („Odaliski w haremie”), którą to pajęczynę nad odaliską pamiętam od lat dziesięciu, została usunięta. Raz na zawsze.

Na karcie menu wieczorem po raz pierwszy pojawiła się nowa nazwa „Bigos à la Maréchal”.

W sobotę pierwszy odczyt w Klubie. Co znaczy „odczyt”?

Otóż nowy wydział skonstatował, że przez pięćdziesiąt lat myśmy właściwie nic a nic nie uczynili, żeby jakoś usprawiedliwić naszą nazwę: „Klub Racjonalnego Rybołówstwa”. Kilka lat temu było podobno kilku członków, którzy chadzali sobie z wędkami na Saską Kępę i tam godzinami wysiadali, oczekując na płotki, które im potem, przed powrotem do domu, odsprzedawali na kilo dzielni flisacy. Ale ten sport dawno wyszedł z mody.

Otóż kiedy na pierwszym posiedzeniu nowego Wydziału poruszono też i kwestię tytułu klubu, zdecydowano coś zrobić w tym kierunku.

Nowy Wydział uprosił więc przede wszystkim profesora Pieterkiewicza o odczyt o „Racjonalnym Rybołówstwie”. Ponieważ atoli ten temat wydał się za ciężki, za fachowy, za „sierozny”, mało przyciągający i pojęty dla miasta, przeto uproszono profesora, aby z tej dziedziny wyszukał coś bardziej pociągającego, coś, co mogłoby zainteresować

i szersze koła inteligencji w Warszawie. Przeważający profesor zgodził się i na to. Tytuł będzie: „Syrena, czyli miłość ryb”. Odbędzie się w wielkiej sali karcianej. Wstęp mają i rodziny. Dziś poszły nawet notatki do gazet!

Odczyt w Klubie!... Coś niesłychanego! Wszyscy mówią, że się uda, bo temat pociągający. Przeważający nie będzie, gdyż ryb w tych momentach fotografować się nie da...

I pomyśleć sobie teraz, że tego wszystkiego dokonał... Hircio! Hircio, którego uważaliśmy jeszcze w listopadzie za największego fujarę z Mościsk i kozę z Pacanowa.

Po południu wysłałem Wojciechową z telegramem do Rzymu do Łykowskiego, żeby 16-tego lutego stawił się punktualnie we Florencji.

Najpierw tylko jego wtajemniczam w cały proceder doktora Caro. Zawsze z nim żyłem w najlepszej przyjaźni. Choćby zresztą wywdzięczając się za to, że mi odradził w 1922 roku kupowanie niektórych akcji.

Nawiasem mówiąc i Dulskiemu, i F.O. Sztumpfowi (młyny parowe na Pradze i na Starym Bródnie) dał prezes Matołowicz listy polecające do doktora Woronowa.

Od jutra zaczynam studiować „Anatomie człowieka” doktora Adama Bochenka. Martwię się tylko tym, że dotychczas wyszły podobno trzy tomy, a czwarty jeszcze nie wyszedł. A nuż w czwartym będzie to, co najciekawsze i co dla mnie właśnie potrzebne? ... Przecież już jakiś grecki filozof powiedział, że człowiek musi przede wszystkim **poznać samego siebie**. Tym bardziej przed tak ważną operacją.

24 stycznia

Rano z Pocijowskim na spacerze higienicznym w Alejach, jak zwykle tam i z powrotem dwa razy. I gadu, gadu o tym i owym.



Pociejowski, od czasu jak prezesem został Hipcio, zrobił się jakoś niemożliwie markotny i zgryźliwy. Wszystko mu w tej Polsce złe i nieudane. Dziś mi podczas całego spaceru wygadywał o nędzocie miast i miasteczek krajowych oraz o braku wszelkiej cywilizacji w ogóle i w szczególach. Na 611 miasteczek i miast tylko 60 posiada wodociągi, z czego na Pomorzu i w Poznańskim 40 oczywiście pozakładali Niemcy. W Małopolsce 15, w Kongresówce tylko 5. Skandal. Kanalizacyjnych urządzeń jeszcze mniej... I to ma być mocarstwo? Bez kanalizacji? Na sto kilkanaście gazowni jest 15 w Małopolsce, a 6 w Kongresówce, reszta, to jest 100, w Wielkopolsce, ergo Niemcy. O elektryfikacji lepiej nie mówić... Podobno Haiti i Honduras są więcej naelektryfikowane.

A te pretensje, te wielkie pretensje! Pociejowski jest po prostu skończony pesymista. Tak jakby on Spenglera czytywał, a nie ja.

„Wyobraź sobie, panie Tymoteuszu – mówił do mnie – tę naszą kochaną ojczyznę bez „ludzkiego nawozu” kulturalnego z Niemców, no i z Bergsohnów i Feinsteinów... Tylko pan sobie na chwilę wyobraź taka sarmacką Sarmację. Sami swoi. Toż to, paniedzieju, gorzej byłoby od Albanii i Zanzibaru. Miasta nam pobudowali Niemcy. Kamienice, fabryki, banki, huty, młyny, kominy – Bergsohny i Feinsteiny. Co to gadać, co to sobie blagować. Kraków w XV-tym wieku, Lwów w XVI-tym, Warszawę w XVIII-tym wieku, Poznań w XIX-tym wieku! Niemcy. Wyobraź sobie, panie Kołtoński, Wielkopolskę bez „nawozu” niemieckiego! Oni to siebie sami nazywają „Kulturdünger”. I czy nie mają racji, paniedziejski? A koleje? Warszawsko-Wiedeńska? A Iwangrodzko-Dąbrowska? A cała industrię, mój łaskawco? Całą! Caluteńką! Weź pan książkę adresową „Przemysłu i handlu”. Ilu pan tam Sarmatów znajdziesz? Co by było bez Blochów,

Kronenbergów, Wawelbergów, Meyerów, Epsteinów, Rotwandów, Natansonów, Steinachów, Bergsohnów, Feinsteinów? Tożbyśmy jeszcze dyliżansami jeździli do granicy, za granicę! Cukier, jedwab, skóra, płótna, pończochy, futra, szmuglerstwo. Gdyby nie ten „Kulturdünger”, paniedziejski, tożbyśmy nadal mieszkali tylko jedni w pałacach, inni w lepiankach, ale normalnych kamienic pan byś nie zobaczył nawet na lekarstwo! Nie ma o czym mówić, panie Kołtoński, wierz mi pan albo nie wierz, mnie jest wszystko jedno, ale ja panu tylko tyle powiem, że my, jako my, jesteśmy w sumie i w jednostkach do chrzanu. Moskale dali cywilizacji przynajmniej samowar i bolszewizm. Myśmy podobno dali barszcz. Tak myślałem dawniej, potem się przekonałem, że też Moskale. Co nam wobec tego zostaje? Powiedz pan, co nam zostaje?”...

Tak krzyczał, omal głośno, Pocijewski przed pałacem Wertheinów, bijąc laską o trotuar... Aż się zaperzył i zasapał z alteracji stary mantyka.

Chciałem mu coś przerwać i oponować, ale mi nie dał przyjść do słowa.

...Mogą sobie bufonować, paniedziejski, te nacje, które dały cywilizacje: takie Angliki, Francuzi, Niemcy, Włochy. Ale my, co żyjemy z drugiej ręki, z okruchów kultury, co pasożytujemy na Zachodzie całym, co przeżuwany tylko to, co oni wynaleźli i wyprodukowali? Jakim prawem? Gdy się tam, w Europie, na swoich „obcych” ciska paryżanin, all-right, bo on to sam wszystko wynalazł, zorganizował, pobudował to i owo, i tamto, piąte i dziesiąte. Tak samo Włoch, Szwajcar, Szwab czy jak im tam... Ale skąd nasze ciskanie się na „krajowych cudzoziemców”, skoro...

... Daruje prezes, ale...

...Nic nikomu nie daruję, nie darowałem i darować nie chcę. Taki naród, który potrzebuje tyle superfosfatu obcego,

żeby coś tam u niego rosło i kiełkowało, nie ma po prostu prawa urągać na ten swój superfosfat. To jest moje zdanie. Jakie zaś jest pańskie, to mnie nie obchodzi!...

Wobec takiego postawienia kwestii, pożegnaliśmy się chłodno przed pałacem Natansonów i on poszedł w swoją stronę, a ja w swoją.

Wieczorem tego dnia znów nie mogłem zasnąć.

Stary zrzęda i przekora tak mnie zaraził swoim desperackim światopoglądem na kompletną nieproduktywność czystych Sarmatów, że się przewalał po pościeli z boku na bok do północy.

Swoją drogą i ta Wojciechowa coraz gorzej mi ściele, a materace trzeba będzie oddać do przeróbki. Ale to już po moim wyjeździe.

Nawiasem mówiąc, homeopata mi mówił niedawno (pod hajrem i na ucho), że Pocijewski coraz częściej zdradza objawy tzw. „kurzej ślepoty”.

Jedyne na to lekarstwo jest „aqua vitamina”. Kurza ślepotą u mężczyzn to konsekwencja wadliwego odżywiania się. W jedzeniu muszą być koniecznie substancje witaminowe (VITAMINA). Tam, gdzie tego nie ma, całe szczepy, rodziny, narody cierpią na kurzą ślepotę. Okazało się, że na przykład jeden gram drożdżowego wyciągu, w którym jest 99 procent witaminy, uratował w ostatniej chwili życie 250 gołębiom już zdychającym. Bez witaminy odżywczej ani człowiek, ani zwierzę, ani w ogóle stworzenie wielokomórkowe nie może istnieć produktywnie. Może ja się tu wyrażam niezbyt naukowo i medycznie, ale „Anatomię” trzytomową już kupiłem i teraz przeinaczam się na antropologa. „**Poznaj siebie samego**”.

Mistrz Jean Gwalbert Śláz dzisiaj wieczorem expressem wyjeżdża do Wiednia. Twierdził, że w celach artystycznych. Jednym mówił, że na zakup farb olejowych i lakierów, bo

w Warszawie zabrakło. Innym, że urządza tam zbiorową wystawę swoich szkiców i obrazów (Boskich).

Ponieważ ode mnie wziął dokładny adres profesora Steinacha (Wien, XX. Mariahilfstrasse 32, parter), przeto miejmy nadzieję, że wróci **artystycznie odmłodzony**.

Ja wyjeżdżam 15-go, od jutra zaczynam się pakować.

25 stycznia

„X” opowiedział mi dzisiaj rano i to przez telefon, że „Poliklinikę” doktora Caro finansowo postawiła na nogi „Banca Commerciale” w Mediolanie. Ucieszyło mnie to jako warszawiaka, co się zowie. Przecież to ten bank, co nam dał pierwszą większą pożyczkę, i to pieniężną, w gotówce (a nie w towarach). Niedawno temu obchodziła „Banca Commerciale” trzydziestolecie swoje, a na jej czele stoją nasi dwaj rodacy, i z krwi (i z kości) warszawianie. Z okazji tego jubileuszu chef Banku dostał order „Polonia Restituta” first class. All right.

Starym zwyczajem wynotowałem sobie dzisiaj z „Kuriera” kilka zabawniejszych ogłoszeń z dziedziny naszego **ściśle rodzimego** handlu i przemysłu.

A więc:

„Poszukuję wspólnika z kapitałem do zakupu dwóch krów dojnych”.

„Prawdziwą herbatę holenderską sprzedaję hurtownie i detalicznie. Nabywam też większe ilości zeszłorocznego siana”.

„Odstąpię 4000 sztuk wytwornych papierosów swojskich za pięć funtów prawdziwego tytoniu tureckiego”.

„Wyższy urzędnik ministerialny, Małopolanin z doktoratem (i bez psa) poszukuje pokoju umeblowanego, choćby w suterynie. Małżeństwo niewykluczone”.

„Zamienię ubranie frakowe, szapoklak, zegar kurantowy, ryngraf będący w rodzinie od 300 lat oraz drzewo genealogiczne za drzewo na opał i kanapę ceratową”.

„Wyuczę gimnastyki rytmicznej (system Dalcroze’a) oraz wszystkich nowoczesnych tańców amerykańskich, elastycznych, modernistycznych, murzyńskich, alianckich oraz krajowych i salonowych („ojrę”) pełny komplet z 12-tu osób za obiady i kolacje przez sezon zimowy”.

„Jest do odstąpienia osiem tysięcy akcji najprzeróżniejszych (w tym Rontalery, Spiessy, Orthweiny, Wedle, Lilpopy, Haberbusche, Schilery, Noble, Girardy, „Stearyna” i inne) za jedną maszynę do szycia Singera”.

Takie to inseraty, i to z jednego dnia, wyłowilem sobie przed spaniem z „Kurierka”.

Nie całkiem dobrze jest w kraju, w którym takie ogłoszeniowe kwiatki rosną sobie jak grzyby po deszczu.

26 stycznia

Skandal nad skandale.

W życiu to jest tak: albo się koło nas nic a nic nie dzieje, albo jak już się zaczyna dziać, to jedna seria po drugiej.

Młody Pocijowski zerwał z Myrtą Einsteinianką.

Złapał *corpus delicti in flagranti* i podobno w Tettestalu, ale nie w samym salu, a jakoś w stajence. Przestępca i partner jest nie tylko dżokejem, ale i synem naszego portiera Wąsika Jędrzeja i jako taki nazywa się: John Bols. Cała Warszawa końska, sportowa i wyścigowa trzęsie się od tego skandalu. Opowiadają sobie detale bardzo pikantne. Cofnąć się już nie było możliwości. Wszystko w asystencji koni najlepszej rasy. On podobno krzyknął w gniewie: „Nigdy się tego po pani nie spodziewałem!”. A ona wobec świadków dość arogancko: „A ja gwizdzę na pana! *Je m`en fiche pas mal*”. I jeszcze coś po angielsku bardzo obrażającego. Po czym wzięła pod rękę

hrabinę Koniecpolską i jakby nigdy nic wyszły obie do bufetu. Dżokej podobno stał jak zmyty, nie wiedząc, czy się siaść, czy wyjść, czy się zapiąć i co począc z sobą w ogóle.

Oczywiście Jurek Pocijowski już z wielką karierą polityczną musi się pożegnać.

W Klubie wieczorem ścisk jak na odpuście. Jeszcze takiej frekwencji dawno mnie pamiętam. Wszystkie stoły zajęte. W karcii puście. Wszyscy oczekiwali przybycia starego Pocijowskiego, ale poszkodowany się nie zjawił. Żałować go tam nie żalują, gdyż ostatnimi czasy stawał się niemożliwie arogancki, pewny siebie i ustawicznie urągał na wszystko, co polskie, tak jakby nasiąknął jakąś atmosferą i przebywał w środo- i wtorkowiskach, na których tylko się bagatelnie o nas mówi. Czasami to tam i on miał swoje racje, ale czasami przesadzał.

Dyskusje, gorączkowe oczywiście, znów o mieszanych małżeństwach z rasami i narodami wybranymi.

Czy taka promiskucija robi dobrze, czy niedobrze?

Dużo było mowy o Judycie i Holofernesie, Samsohnie i Dalilii oraz o Kazimierzu (nad Wisłą) i Esterkach. Przeważały głosy przecie amalgamii ras i szczepów i twierdzono, że krzyżowanie w małżeństwach doprowadza tylko do tego, że obie strony mają z tym krzyż pański przez całe życie.

Te Sary z tamtej rasy szczęścia Sarmatom przeważnie nawet nie przynoszą. Bardzo często zdradzają swych mężów już przed ślubem, co jest zjawiskiem stanowczo niepożądanym. Podobno krzyżowanie z rasami różnokolorowymi daje rezultaty świetne, ale tylko w Ameryce. Podobno co drugi mulat i co trzeci metys są kompletnie genialni. Ale skąd u nas wziąć rasę o odmiennym kolorze? To jest czerwonoskórą lub czarną, kiedy tu tylko sami swoi, biali jak się patrzy. Nadto ze stanowiska eugeniki, tj. czystości rasy,

nie jest pożądanym, ażeby się w ogóle zanadto wszystkim w głowie nie pomieszało (dobór nienaturalny).

Toteż w Klubie większość pochwała zerwanie Pocijowskiego z firmą „Bergsohn-Einstein”. Ale były i głosy przeciwne. Byli i tacy, co twierdzili, że żenienie się tylko w swoim plemienu „dogłupi nas do reszty”. Ktoś wyrwał się nawet z tym, że przydałaby się nam domieszka F.Einsteińska. Był to, jak się łatwo można domyśleć, stary Ramołyński (ten od Królikowskiej „Wandzi”), który może o sobie powiedzieć podobno: „Z matki obcej, krew jego dawne bohaterzy, a imię jego 44”, a to dlatego, bowiem babka jego z domu baronówna Joselewiczówna (bratanica słynnego Berka), tego, co to w powstanie z 1831 roku służył pod Mierosławskim, a wraz z Bartoszem Głowackim przywiódł Kościuszce dwanaście armat zdobytych na Prusakach.

Podczas całej tej dyskusji stałem sobie z boku i nie mieszałem się do niczego.

Korciło mnie po prawdzie, żeby zabrać głos w krytycznym momencie i krzyknąć do nich gromko: Panowie, przyjaciele, koledzy, rodacy! Jest już i na to sposób! Nie trzeba nam się krzyżować z innymi rasami, ażeby pozbyć się zastarzałej i dotychczas nieuleczalnej „l'improductive slave”! Można temu inaczej zaradzić! Przyszłe pokolenie nasze będzie genialne! Będzie miało amerykański rozmach i yankesowiecką przedsiębiorczość i inicjatywę! Co więcej, to nawet my sami! Nawet **my już możemy wyleczyć się** z niedołęstwa i niezaradności, i z kurzej ślepoty, i ze śpiączki! Ale nie tą metodą, co nasz prezes Hipolit Matołowicz. Jeszcze inną, jeszcze lepszą, doskonalszą, idealną, a mianowicie: systemem doktora Caro!

Już chciałem to wszystko wyrecytować, ale się oczywiście wstrzymałem. Sam „X” odebrał ode mnie słowo honoru i certyfikat na piśmie, że ani jednego słowa o tym

nikomu nie powiem.

A ponieważ w ogóle mówić lubię i muszę, więc słusznie chyba zdecydowałem się pisać ten „Pamiętnik”.

Dopiero jeżeli moja kuracja da rezultat nie tylko dodatni, ale świetny, wtedy wybiorę sobie z grona przyjaciół z Klubu osób dwadzieścia. Tym wybrańcom powierzę tajemnicę systemu doktora Caro. A tych dwudziestu przejdzie sobie jak i ja pięknie przez podwójny zabieg doktora Caro, a powróciwszy do Ojczyzny, w przeciągu lat dwudziestu, zrobi z naszej Sarmacji nową Saksonię, nową Belgię, Amerykę, Nowy Świat. Zobaczycie!

Jest już godzina druga w nocy!

Spać!

27 stycznia

Ten stary Sztumpf Fryderyk (Młyny parowe), co do Paryża wyjechał dla zbadania tam organizacji działalności klubów tamtejszych ma, jak wiadomo, dziewięciu synów i cztery córki, zaczem już szesnaścioro wnucząt. Z nas wszystkich w Klubie jeszcze on się trzyma najlepiej i choć Sarmata jak się patrzy (dawał pieniądze na propagandę, na wybory, na „Dziennik”), to jednak na starość nie zdurniał jakoś do krzty i bardzo jest a to obywatelski, a to znów „uświadomiony społecznie”. Daje też i teraz pieniądze na różne cele i towarzystwa, a jednak powodzi mu się doskonale. Podczas okupacji pruskiej stary Sztumpf i jego synowie najbardziej się Szwabom stawiali i choć protestanci, to jednak dwóch młodych Sztumpfów siedziało w twierdzy w Modlinie. Teraz też od lat sześciu ogromnie się cieszą tą Polską i dotychczas nie mogli się dosyć nacieszyć.

I synowie, i małeńkie wnuki imiona mają bardzo polskie: Mieszek, Leszek, Dobrosław, Kinga, Dąbrówka. Wnuków sobie ponazywali tylko z Sienkiewicza (z Krzyżaków):



Jurand, Litawor, Alpuhara, Dewajtis, Aldona, Rymwid, Perkunas itp. I rzecz zdumiewająca, choć tam z Niemców się wywodzą, to jednak zewnątrznie tak wyglądają, jakby byli najrasowszymi, modelowymi Lechitami!!

Dziś dwaj młodzi Sztumpfowie (bliźniacy, obaj mają akurat okrągłe sto lat) byli u nas w Klubie na kolacji i na imieninach Kamienickiego. Jeden inżynier i drugi także. Jeden specjalista od wiercenia, drugi od rżnięcia, bo jeden pracuje w nafcie, drugi buduje tartaki.

Siedziałem między nimi przy stole i od jednego nasłuchałem się nowin przykrych, i od drugiego niepokojących. Drzewo i nafta to niby nasze najważniejsze bogactwa, to posag naszej Republiki, to nasz skarbiec. Prawda? Tymczasem pożał się Boże!

Sztumpf (starszy o pięć minut, na imię mu Kordian) siedzi sobie w tych puszczech i tartaki buduje, ale nie Sarmatom, nie Anglikom angielskim, ale tutejszym...

25 procent terytorium Polski jest zawłosione lasami! Szóste miejsce w Europie! No i co z tego? 80 procent drzewa biorą jeszcze od nas Niemcy już jakby z łaski, a nasze zapałki tyle że tam trochę do Rumunów idą. Białowieża, Naliboki, wszędzie rabunkowa obca gospodarka, a teraz w ogóle zastój. Znow **stabilizacja stagnacji**. Rosyjska konkurencja coraz większa! A tartaki nasze zaczynają zasypiać jeden po drugim. A wszystkie firmy przemysłu drzewnego bankrutują. Już nawet te perfumowane Rumuny konkurują z nami zwycięsko, a ich drzewo idzie nawet do Egiptu, do Afryki, do Turcji i do Niemiec!

Dziesięć milionów hektarów lasów posiada ta Polska, 20 procent całego eksportu naszego to drzewo, a pieniądze z tego gdzie? Ile z tego ma państwo? Ile Polacy?

I klął Konrad Sztumpf, i lamentował, i żalił się, co wlezie.

A ja sobie cicho myślałem w duszy: Czekażcie bratku, czekaj tylko cierpliwie, jeszcze z dwa, trzy lata! Przez ten czas przecież wszystkich puszczy nie wytrzebią, całego drzewostanu nie wytną.

A tymczasem przejdzie nas dwudziestu z „Koła Racjonalnego Rybołówstwa” przez kurację doktora Caro, to jeden z tych dwudziestu zajmie się w przyszłości i drzewostanem w Polsce, pobuduje kolejki, fabryki słomek zapalczanych, celulozy, mebli. Potem zorganizuje leśne spółki akcyjne, własny port, flotę do eksportu, giełdę drzewną i w Białowieży, i w Nalibokach, i w Niepołomickiej, i w Tucholskiej puszczy wszystko pójdzie jak z płatka. My, tak jak teraz jesteśmy, naszym rasowym rozumem domorosłym (bez szóstej klepki) nikomu nie zaradzimy. To jest kalectwo dziedziczne, nieodwołalne, nieuleczalne: „l'improductive slave”. Trzeba nam zatem iniekcji krwi... Falaszów. Tak! Lasze! Ale i Falasze! Falaszów! I przeszczepienia! Jak najprędzej. I to się robi.

28 stycznia

Wiktor Ramołyński sprzedał swój sklep z nasionami spółce, w której jest jeden hrabia Tarło, dwóch byłych obywateli ziemskich z Kresów i Olgierd Bergsohn (z firmy Bergsohn & F. Eisnstein) jako kiepełe, tamci od frontu i od szyldu. Ramołyński przerzuca się do produkcji sztucznego jedwabiu czy też bawełny strzelniczej, coś takiego. Nic się na tym nie zna, ale zna kogoś, kto się na tym zna, więc zakłada, no i oczywiście za pół roku fajtnie. Dużo u nas jest takich ludzi, co się czepiają ogonami rozmaitych gałęzi przemysłu, o których nie mają pojęcia ni wyobrażenia, no i oczywiście z gałęzi spadają i kark na tym kręcą.

Ramołyński zakładał kolejno: fabrykę czernienia kawioru, gdzie różowy gruboziarnisty przebarwiali

i sprzedawali jako drobnoziarnisty czarny. Ale się publika na tym poznała, kiedy kilkanaście obywateli na śmierć się zatrulo. I musieli budę zamykać. Potem zajął się kilimami. Założył towarzystwo eksportowe wywozu naszych kilimów do Algieru i Maroka. Jakiś czas to szło, ale potem cały okręt naładowany kilimami odesłali mu z powrotem do Gdańska. Potem te polopony (opony do samochodów z gumy hartowanej). Zbankrutowali, bo były te opony sześć razy droższe od najdroższych niemieckich i włoskich. Potem założył „scating-ring” (co innego scating, a co innego scouting) dla jazdy na wrotkach, do czego trzeba było sprowadzać na posadzkę drzewo cedrowe aż z Meksyku. Znalazł na to kapitalistów i scating miał powodzenie przez jeden sezon. Ale kiedy kilkanaście osób połamało sobie odnóża górne i dolne, scating zamknęli, a cedrową posadzkę Ramołyński sprzedawał na opał (zamiast na ołówki, bo to najtańszy gatunek drzewa na świecie) i przerzucił się do handlu nasionami.

Genialny człowiek co się zowie, ale z fiołem we łbie. Ma po babce Joselewiczównie apetyt na geszefty i tę ruchliwość, ten niepokój, ten „mobilizm” (la donna mobile), ale czegoś mu brakuje. Już zatracił w trzecim pokoleniu węch, to jest tę szóstą klepkę, bez której ani rusz dzisiaj nikt poradzić sobie nie może.

A tylko ja wiem, w czym tkwi feler, choć boję się, czy to zdefiniuję dość naukowo.

Oto niedorozwój pewnych gruczołów, wydzielających pewną substancję... Laicy o tym nic nie wiedzą, ale ja już wiem.

Otóż rozstrzygającym jest rozwój zwojów mózgowych, tak zwanych ganglii (GANGLIE). Charakterystyczne jest, że w słowie ganglie słyszy się poddźwięk: Anglia, a bądź co bądź Anglicy dzisiaj górą. Otóż na rozwój **zwojów mózgowych**

bardzo wpływa rozwój gruczołów wydzielających pewne substancje, które to gruczoły są nie tylko tam, gdzie je można dojrzeć gołym okiem, ale także w mózgu i w szyi każdego kręgowca i ssaka. I grają te gruczoły wielką rolę w organizmie.

„X” mnie pouczył, że my wszyscy jako rasa jesteśmy biologicznie upośledzeni pod względem tych właśnie gruczołów. Specjalnie zaś znowu wyposażona jest w te gruczoły rasa Sary (Królikowskiej) – Chazarowie... Otóż system leczenia doktora Caro z Florencji właśnie kładzie duży nacisk na rozwój tych gruczołów...

Wieczorem tegoż dnia

Od pewnego czasu zauważyłem, że tak Wojciechowa, jak i portier klubowy Wąsik patrzą na mnie z pewnym niepokojem, nieufnością, podejrzliwie, jak to mówią, spode łba. Wojciechowa coraz częściej mnie zapytuje: Czy mi co dolega? Czy mnie głowa nie boli? Czy nie posłać po lekarza? Nadto wieczorami zamyka drzwi do kuchni i wzbrania się otworzyć, gdy pukam i proszę o herbatę. Irytuje ją też, że nocami studiuje „Anatomie”, zamiast spać.

Wczoraj nawet schowała dwa tomy „Anatomii” przede mną do szafy z lodem.

Za osiem dni wyjazd. Trzeba już na gwałt się pakować.

29 stycznia

Co to znaczy kultura, Zachód! Cywilizacja...

Oto dokument!

Polska krowa daje przeciętnie rocznie 600 litrów mleka. Dużo ryczy, ale mało mleka daje. Gdzie indziej dochodzi jej wydajność do tysiąca litrów; w Wielkopolsce (gdzie były Prusaki) 2000 litrów rocznie.

Tymczasem przeciętna szwajcarska lub holenderska daje

do 6000 litrów rocznie, zaś była jedna, unikat, rekordowa, szampion mlekodajności krowa, która jednego roku dała 10 tysięcy litrów.

600 i 10000 – to różnica! W tym ta kultura!

Dopóki więc polskie krowy nie będą dawały przynajmniej 2000 litrów, nie powinniśmy ryczeć tak głośno, że jesteśmy przedmurzem cywilizacji.

Wczoraj kupowałem funt jabłek i funt mandarynek. Jabłka są sarmackie z Powsina (na drodze do Konstancinopola), mandarynki z Sycylii (Włochy).

Jabłka są o 25 procent droższe od mandarynek.

Otóż w jednym funcie trzy jabłka był zgniłe.

Mandarynki zdrowsze. Owococaryca tłumaczyła mi, że owoce krajowe w tym roku muszą być droższe, ponieważ drzewa w niemożliwy sposób obrodziły i nie wiedzieć, co z owocami robić...

Dalej!

...Warszawskie tramwaje sprowadzają swe wagony z Belgii i Włoch....

W kraju jest normalnie stale powyżej 100000 bezrobotnych, a 400000 rodaków przez siedem lat naszej **samostarczalności** państwowej wyemigrowało do Francji.

Akcja krajowej fabryki wagonów warta jest tyle, co bilet tramwajowy. Atoli i takie wykupili doszczętnie Belgowie.

...W roku 1920 były do kupienia każdej chwili za piersi pieniądze dwa obiekty: jedna z największych fabryk broni i amunicji na kontynencie (Manfred Weiss w Budapeszcie) i jedna z największych stoczni okrętowych na kontynencie (Klawittery w Gdańsku). I jedną, i drugą ofertę Sarmaci odrzucili.

...Karpie Polska importuje z Czech...

...W jednej dzielnicy Berlina, tj. w Moabit biblijnym, wybudowano w roku pańskim 1924 tyle domów, ile w całym

państwie polskim, we wszystkich miastach i miasteczkach, w przeciągu lat siedmiu... jeszcze nie wybudowano.

...Marynarka handlowa nasza składa się z następujących statków: Wawel, Lwów, Wisła, Hamanet, English. Co do ilości ton (1600 + 811 + 830 + 322 + 750), razem 4293 ton. Jak na mocarstwo, które od pięciu lat ma już dostęp do morza, to mało, skoro się zważy, że jeden z mniejszych okrętów handlowych jednej z drugorzędnych kompanii greckiej „Salamis” (Averow) ma 4500 ton.

Dlaczego ja w tym „Pamiętniku” piszę dziś o krowach, marynarkach, mandarynkach, jabłkach, tramwajach, karpach, Moabicie, Klawitterze itp.? Oto dlatego, żeby wykazać czarno na białym, jak beznadziejnie fatalny jest stan niezaradności krajowej obecnie, tj. **przed** naszą kolektywną, gremialną kuracją systemem doktora Caro... a jak to wszystko ulegnie czarodziejskiej metamorfozie po, to jest po trzytygodniowym naszym pobycie w poliklinice doktora Caro.

29 stycznia

W Klubie śniadanie we dwójkę z Hipciem Matołowiczem, który jakby coś podejrzewał, ciągle bierze mnie na spytki i pytaniami mnie dokoła obchodzi, a raczej stara się zaskoczyć.

Zauważyłem w nim pewne symptomata, nie powiedziałbym, że sympatyczne, jako obserwatorowi z profesji nic nie ujdzie przed moim okiem.

Otóż przede wszystkim ręce. Jeszcze nigdy u nikogo nie widziałem rąk tak owłosionych jak u niego teraz, po niedawnym powrocie z Paryża. Zainterpelowany przeze mnie, odpowiada, że sam też to już zauważył i jutro sprowadza sobie golarza na kilka godzin, gdyż podobno na całym ciele w przeciągu jednego miesiąca obrósł zbyt obficie i bujnie.

Następnie w ruchach. Hipcio dawniej miał ruchy

i gestykulację spokojną i poniekąd estetyczną. Teraz ni stąd ni zowąd odkłada nóż i widelec i zaczyna się gorączkowo drapać pięcioma palcami to po twarzy, to po żakiecie, to po łydkach, przekrzywiając się przy tym nieprzyjemnie i trzęsąc ustawicznie głowiną z jakimś niepokojącym i nieładnym, nerwowym tikiem.

Ale nie dość tego. Kiedy nam podali na deser owoce z kokosowym orzechem na środku patery, prezes Matołowicz wpatruje się przenikliwie przez chwilę w kokos tak, jakby sobie coś z trudem przypominał i nagle raptownym ruchem chwyta kokos w rękę i podrzuca, żonglując wysoko w powietrzu, chichocząc przy tym niemile i jakoś nieludzko.

Szczyściem, że w pokoju, w którym jedliśmy, było niewielu członków i tak zagadanych ze sobą o mankamentach bliźnich, że nie patrzyli w naszą stronę. Od razu pojąłem wszystko, przypominając sobie, co mi mówił „X” o objawach zaobserwowanych u pewnych pacjentów doktora Woronowa.

Były już trzy takie wypadki (captain Howard-Wilson, bankier Sparman z Toronto i fabrykant samochodów markiz de Vendôme-Chamfort). Otóż u tych panów po doskonałej operacji, po zrośnięciu się „parenchyma testis” z cząstkowymi gruczołami orangutana – następowała przewidziana przez Woronowa reakcja, tak zwana „retrovia bestialis cum stupore”. Najjaskrawszy był wypadek z markizem de Vendôme-Chamfort, który będąc ze swoją żoną w większym towarzystwie w luksusowej ogrodowej restauracji w Paryżu, nagle znalazłszy się przy drzewie mangrowym, skoczył równymi nogami na gałąź i ze zręcznością wprost dosłownie małpy, ku zdumieniu całego towarzystwa, wdrapał się na najwyższy wierzchołek mangrowca i w żaden sposób z powrotem zejść nie chciał.

Byłoby wprost straszne, gdyby nasz prezes, tak szczęśliwie odmłodzony i odrodzony, nasz prezes, który

w przeciągu niecałego miesiąca tyle w Klubie dokonał i taką energię rozwinął, wpadł teraz w tę „retroria bestialis cum stupore”...

W każdym jednak razie pocieszam się tym, że: jedyną metodą **rejuvenalizacji** jest tylko metoda doktora Caro.

Gdyby te symptomy nieco pawianiczne i nieco wsteczne u prezesa zaczęły się teraz powtarzać, to najbardziej oczywiste jest, że zatryumfowałiby: Homeopata-Konował i obaj redaktorzy „Dziennika Sarmackiego”, tj. Goryczko i Żółzikiewicz, którzy są zdecydowanymi wrogami wszelkiego odświeżania się i odmładzania, jak tego dowodzi dzisiejszy artykuł wstępny w „Sarmacie”, zohydżający w czambuł obie metody: paryską i wiedeńską, metody należące, jak wiadomo, już do... przeszłości.

O mojej, to jest o florenckiej Carowej metodzie ignoranci oczywiście jeszcze nic nigdy nie zasłyszały i nie wiedzą.

No, już ja i tam o niej nic nie powiem.

I im ani słówkiem jednym się nie zdradzę.

Nigdy.

30 stycznia

List z Florencji, list z Florencji!

„Policlinica Giacomo Caro” Via Cristophoro Colombo 5.

Można sobie wyobrazić, jak drżącymi rękoma rozdarłem kopertę. Cztery strony! Po esperancku. Zeskoczyłem z łóżka. Telefon do „X”.

Na szczęście znał esperanto. Odetchnąłem. Zaraz będzie. Sam zrozumiałem tylko intytulację: „Onorevole Monsiero”. Dalej jeszcze kilka słów...

„casa numero centi... Appellante: Izmael ben Matuzalem”...

Czekam więc na „X” niecierpliwie, spisując sobie tych, których wtajemniczę po udanej kuracji.



A więc:

Obaj Ramołyńscy, Homeopata, Fr. W., Otto Sztumpf, mistrz Śláz, zacny profesor Pieterkiewicz, młody Pocijowski, dalej Łykowski, Połanieccy – ojciec i syn, Wokulski, Zabłocki (ten od fabryki mydeł pachnących), ordynat Tarło, Safian Dulski, Kresowiecki, Kamieniecki. W ogóle i w zasadzie wtajemniczę tylko dwudziestu i tych tylko, którzy nie zanadto ograli mnie w karty, którzy interesowali się serio moimi studiami nad Spenglerem, nie pokpiwali sobie z mego przetwardzenia mózgu („perdurantia cerebralis”, partielle Gehirnverstopfung), sami leczyli się według moich rad ze swych artretyzmów i reumatyzmów, chadzali ze mną na specery higieniczne i do łaźni rzymskiej. W ogóle dzielnych Polaków i dobrych patriotów... Razem dwudziestu.

Dzwonek „X”. Wieczorem dokończę...

Nie mogłem wczoraj wieczorem pisać, gdyż musiałem nieco przestudiować „Embriologię” oraz „Abisynię” w Encyklopedii Wielkiej Orgelbranda, co mi się udało, ale tylko w pewnej mierze, gdyż oba tematy są zbyt obszerne jak na jeden raz.

Jeżeli dodam tu jeszcze to wszystko, co mi nawykładał przeszło przez dwie godziny „X”, to nikt by się nie dziwił, że mam głowę jakby opuchłą wiedzą tajemną w tej dziedzinie. Cokolwiek też zaczyna mi się mieszać to wszystko. Aczkolwiek notatki robiłem swoim zwyczajem detalicznie i skrupulatnie.

A więc co do przeszłości naszego systemu.

Otóż kiedy doktor Caro poróżnił się na dobre z doktorem Woronowem, urządził sobie dwie ekspedycje naukowe na Kaukaz i do Bombaju dla badania „antropometrycznego”, „biologicznego”, „somatycznego” tamtejszych swoich zagubionych rodaków i wyznawców (czy współwyznawców).

Okazuje się, że w Dagestanie (Kaukaz) jest także pewien szczerp góralski, który się wywodzi od Judyty i Holofernesa. W Bombaju zaś, w Travancore, są nawet czarni (KALA), którzy twierdzą, że w prostej linii idą od Sary i Aarona.

I ci, i tamci dla celów doktora Caro się nie nadawali. Jedni jako czarni, drudzy jako zuchwali górale kaukascy, których za żadną cenę nie było można nakłonić i zaagitować do opuszczenia swego Dagestanu i poddania się zabiegom lekarskim.

Uważali to bowiem za krzywdzące dla siebie (?).

Wobec takiego niezrozumienia wyższych naukowych celów (no i dobra ludzkości w ogóle), nasz uczony całą swoją uwagę i energię skoncentrował na Falaszach-Abisyńczykach. Ci okazali się ulegli i powolni, i chętni, i bardzo zaciekawieni całym tym procederem. Ponieważ wpływowi w Europie współwyznawcy doktora Caro tych Falaszów uważają właściwie za odszczepieńców już od dwóch czy trzech tysięcy lat, przeto patrzą przez palce na wszystkie eksperymenty z nimi i pozwalają tak doktorowi Caro, jak i jego asystentom doktorom G. Loria (GLORIA) i S. Spiro (Contra spem Spiro) praktykować, co im się żywnie tylko podoba.

Wyznaczony dla mnie egzemplarz nazywa się Izmael ben Matuzalem. Lat ma osiemnaście. Wzrost półtora metra. Podkowy łamie jak opłatki. Wykazał **superlatyczne zdolności matematyczne**. W trzy tygodnie pojął całą algebrę. Tablice logarytmiczne umie na pamięć. W listopadzie zapoznał się z wyższą matematyką i astronomią i obecnie studiuje teorie Einsteina. Po operacji będzie z powrotem odesłany do swej wioski, do Gabriol, gdzie zajmuje się stale pasterstwem.

Teraz co do tych chromosomów („CHROMOSOM”).

Otóż są to już szczegóły bardzo trudne, bo z wiedzy ścisłej. Z Anatomii notowałem jak mogłem, jednak boję się, że mi się jedno z drugim poplątało. W każdym razie jest tak, że

ilość „chromosomów” w ziarnie komórki jest taka sama u lilii, jak i u człowieka, tj. 29, czyli inaczej, że substancja komórkowa u człowieka i u lilii jest omal identyczna.

Nigdy w życiu nie byłbym się tego spodziewał, że w każdej komórce mego korpusu jest tylko tyle akurat chromosomów, ile w wiotkiej, wonnej, delikatnej lilii. Ale mniejsza z tym, bo ta lilia do rzeczy nie należy.

Dalej od ilości „chromosomów” w plemnikach zależy właściwie wszystko: czy człowiek będzie geniuszem, czy też jest sobie zwykłym idiotą, takim jak normalni ludzie dookoła. Bardzo ważnym szczegółem jest redukcja czy też redakcja „chromatyny” w komórkach plemnikowych.

Jeszcze ważniejsza jest tak zwana spermatogeneza, no a najważniejsze to „Testis”, czyli „parenchyma Testis” u każdego mężczyzny.

Wstyd mnie doprawdy za siebie i za moich rówieśników, i w ogóle za całą burżuazję, że tego nic a nic nie wiedzą i że na cały Klub „Racjonalnego Rybołówstwa”, na 240 członków zwyczajnych i czternastu honorowych, właściwie tylko ja jeden reprezentuję pewien poziom, pewne studium intelektualnego rozwoju i rozrostu, że tylko ja jeden idę naprzód z prądami wiedzy i nauki, że tylko ja jeden trzymam dłoń na pulsie postępu np. w antropologii.

No i co nieco też profesor Pieterkiewicz. Homeopata to już przecież skończony ignorant.

No, a inni? Pożal się Boże!

Wojciechowa dziś bardzo uroczyście wymówiła mi miejsce. Rozbeczała się, ale wymówiła. Jako powód główny podała, że całą noc wypalam elektrykę, czytam książki i przez sen mówię ciągle, zamiast chrapać jak Pan Bóg przykazał i uczciwi ludzie czynią. Między wierszami dała mi do zrozumienia, że prawdopodobnie już cierpię na „dementia opraecox” i że lada chwila mogą mnie przewieźć do Prze-

Tworek. Zdaje się, że jest to wszystko demonstracja i zemsta za to, że nie oświadczyłem się o rękę córki (tej starszej brunetki z brodawką), o czym kilka razy w bezpretensjonalnych i nieobowiązujących pogawędkach jej kiedyś nadmieniałem. Skończyło się na tym, że jej znów podwyższyłem gażę tak, że teraz otrzymuje mniej więcej tyle, ile dyrektor departamentu w którymś z ministerstw.

Jeszcze raz konkluduję: od ilości i jakości „chromosomów” zależy rozwój zwojów (ganglii); Anglia i naród wybrany mają zwoje najbardziej rozwinięte.

Zawdzięczają to między innymi także racjonalnemu odżywianiu się... „Racjonalnemu Rybołówstwu” (Śledź!!!).

A my? Wstyd powiedzieć! Przeszło 50 lat istnieje „Koło Racjonalnego Rybołówstwa”, a propagowało u siebie wyłącznie „mięsożerstwo” i niczym, literalnie niczym, nie przyczyniło się do wzrostu konsumpcji ryb w kraju, co jedynie mogło się przyczynić do pewnych przemian zasadniczych w układzie i rozwoju zwojów mózgowych i w ogóle w charakterze moich rodaków.

Godzina 11-ta w nocy.

Przed chwilą telefonowała Hipciowa, cała zabeczana w telefon. Niedołęga coś znów awanturuje się w domu i to wśród dziwnych objawów.

Posłała po lekarza... Boję się, żeby nie wywiązało się z tego coś kompromitującego cały ten kierunek antropologii doświadczalnej.

A mówiłem mu, a ostrzegałem, żeby czekał jeszcze i jechał dopiero ze mną.

Radziłem jej bańki, a może nawet pijawki...

Utrapienie z tym prezesem.

Jutro odczyt...

.....  
.....

31 stycznia

Rano telefon od Hipciowej. Wszystko dobrze.

Lekarz ich domowy (dr Dobbermann) oczywiście poradził to, co i ja, to jest banki cięte i dęte, jakie pod ręką, choćby nawet mydlane. Z telefonu Hipciowej pomiarkowałem, że pan małżonek, jak przedtem całe lata ugorował jako czynnik maskularny, tak obecnie znowu grzeszy nadmierną żywotnością zapachu koniugalnego. Hipciowa, wprost przerażona tymi wybuchami afektów, zaczęła coś oponować i to doprowadziło pana domu i łomu do wybuchu imperatywnej woli. Okazało się przy tym, że baniek stawiać naszemu prezesowi nie można, gdyż przez ostatni miesiąc tak cały owłosiał i pokrył się czarnym runem, że żadna bańka by się go nie miała, ni wielka, ni mała. Dostał więc cztery kataplazmy na kark, kieliszek kamfory i w godzinę się uspokoił, aczkolwiek biedna Hipciowa jest tak już zmęczona tym wszystkim, że wątpi nawet, czy na odczyt dziś przyjść będzie mogła.

Telefonował z pożegnaniem drugi Sztumpf (ten, co wierci), brat tego od tartaku. Ten nafciarz. Wodzisław mu na imię. Bardzo dzielny człowiek. **Wciągnąłem go na listę wybrańców, których wtajemniczam.** Co prawda, gdy go tak trochę sondowałem, zresztą bardzo delikatnie, czyżby nie miał kiedy zamiaru poddania się także **kuracji juwenalizującej**, to najpierw spojrział na mnie w telefonie zdumionymi oczyma, a potem zaczął się śmiać do rozpuku. Śmieje się na literę „a” – hahahaha...

Tu dodam nawiasem cośkolwiek o mojej metodzie w badaniach psychiki ludzkiej na podstawie kolorytu samogłoski, na którą się homo sapiens, człowiek, „ssak łożyskowy” śmieje.

Jedni się śmieją na eee: Hehehe...

Inni: Hihhi... Jeszcze inni: Hohoho...

Otóż moje badania i doświadczenia psychoanalityczne wykazały, że ci, co się śmieją na „u”: huhuhu, to są wątrobiarze, samotnicy, egoiści, niechętni ludziom, pesymiści (Goryczka, Żółzikiewicz, stary Pocijowski). Ci, co na „i” (hihihi), mają coś z dzieci, pewną nieporadność, naiwność, są niezdecydowani, ale bardzo dobrotliwi, płacą długi, dają dobre napiwki, lubią zwierzęta (prof. Pieterkiewicz).

Ci, co na „a” (hahaha), to najlepszy materiał, wierni przyjaciele, szerokie natury, jowialni, lubią anegdoty i wiele ich znają na pamięć, zawsze starają się pocieszać tych, co są zmartwieni, pierwsi stawiają szamapana i w ogóle dużo z dziewczynkami mieli do czynienia.

Wodzisław Sztumpf śmieje się na „a” (hahaha). I tak się śmiał ze mnie. Ale zobaczymy, kto będzie się śmiał ostatni! Jeszcze przyjdzie koza do woza i na moje podwórko.

Jeszcze **on będzie mnie** prosił o listy polecające do Florencji.

Jego sobie wyznaczam na **reorganizatora naszej gospodarki nafcianej**.

Ale bo też opowiadał wtedy na tym śniadaniu (imieniny Kamienieckiego) istne horrendalia. Twierdził, że gdyby nie nosił nazwiska niemieckiego, to by tam byli do nafty go nie przyjęli, bo tam teraz dyrygują sami Niemcy i cudzoziemcy (zagraniczni i krajowi) i bez pardonu Polaków bojkotują, pędzą precz!

Odkąd państwo polskie nastało, przepędzają tam z posad i stanowisk Polaków jak się patrzy i ile wlezie. Podobno do roku 1908, kiedy jeszcze żyła stara Austria, wszystkie kopalnie i szyby były w rękach polskich, potem zaczęło się paniczne sprzedawanie terenów i teraz już 85 procent wszystkiego należy do Anglików, Holendrów, wiedeńczyków, paryżanów i budapesztetów. I te Tustanowice, i ta Suchodnica,

i Drohobycz, to wszystko już obce. Im Polska większym mocarstwem się robi, tym więcej nafcianych kopalń przechodzi do obcych. Wiercą coraz lepiej i głębiej, ale co wywiercą, to wszystko wlewa się do kieszeni niesarmackich.

W Warszawie to nawet nie znają nazwisk polskich Rocquefellerów, naszych królów petroleonowych.

Zanotowałem więc sobie od Sztumpfa kilka nazwisk, a to są: Wahrhafting, Dchefer, bracia Spitzman, J.U. Waterkant (Holender). A szyby i kopalnie to sobie nazwali międzynarodowo: „Fotogen”, „Mugden”, „Deverice”, „Kismet”, „Oil Spring”, „Rena”, „Lola”, „Stella”, „Villy”, „Silva Plana”, „Stateland”, zupełnie tak jak w Kalifornii albo w kinematografie, żeby nie można było poznać, że to w państwie polskim.

Sztumpf zaręczał, że jeszcze pięć lat temu to tam w tym zagłębiu nafciarskim Polaków tolerowali na podrzędniejszych stanowiskach, a nawet jako techników, dyrektorów, majstrów. Teraz już jest gorzej, ale jeszcze można się ostać, jak się ma niemieckie nazwisko i mówi się po angielsku. Zresztą ze względu na robotników Fellachów muszą tolerować i takich, co po polsku mówią, ale wolą swoich, co się galicyjskiego języka trochę nauczyli od autochtonów, niż naszych, nawet tych, co płynnie mówią w żargonie rządzącej „mniejszości”.

Dyrekcja tego towarzystwa, z którego kopalni dyryguje Sztumpf junior, rezyduje w Budapeszcie i nazywa się w skrócie „G.M.P.” (Gaude mater Polonia?). W Radzie Nadzorczej jest kilku Węgrów (Bela Bergsohnyi, Ferencz Einstein), jeden Włoch (Castiglione di Fonteropse), jeden Polak.

Jak my dojdziemy, pod moim przewodem, do zdrowia, do młodości i do władzy, wszystko to musi się zmienić od a do zet. Wszystkie dyrekcje, wszystkie spółki i towarzystwa przeniesie się do Warszawy. Żadnego surowca wywieźć nie

damy. Rafinować tylko u siebie. Wiercić będziemy jeszcze głębiej i co wywiercimy, wszystko musi się wlewać do kieszeni sarmackich.

Oświadczyłem to kategorycznie Sztumpfowi przez telefon. Ale się zaśmiewał.

Zapewne teraz nieboraczek myśli, że u mnie „perduratio cerebralis partialis” (przetwardzenie zwojów mózgowych, czyli „ganzliche Gehirnverstopfung”) postępuje już siedmiomilowymi butami.

3 lutego

Całe przedpołudnie pakowanie do wyjazdu... Asystował przy tym „X”, który jeszcze poduczał mnie arkanów metody doktora Caro. Najpierw więc będą zastrzyki krwi abisyńskiego Falaszy i potem dopiero we dwa tygodnie: ceremonia przeszczepienia. Przez cały ciąg kuracji ostra dieta, pokarmy tylko roślinne, tj. cebulowate, leguminosy (strączkowe) i sycylijski czosnek przypiekany. Nadto pastylki Spionozany (SPIONOZA). Jest to specjalny preparat tamtejszej polikliniki, podobno arcydzieło „farma-kopiczne”. No i woda źródłana. Cała kuracja trwa trzy tygodnie i kosztuje trzy setki tysięcy lirów.

Ponieważ cokolwiek mi do tej sumy jeszcze brakowało, przeto sprzedaję mieszkanie wraz z Wojciechową i wszystkimi nieruchomościami i całym inwentarzem żywym i martwym; kupuje go Olgierd Bergshon na biuro swego przedsiębiorstwa „Polasbest”.

„X-a” zaprosiłem na śniadanie do Bristolu. Nie mogłem do Klubu, bo mogłoby się wydać, kto zacz..

Przed Bristollem wstąpię do mojego banku przybocznego, gdzie mam odebrać różne dywidendy.

Nie będzie tego wiele, bo od trzystu akcji „Poloponu” dostaje 9 złotych, podczas gdy na tantiemy i gratyfikacje dla



zarządu idzie tam po 20 złotych od akcji. Jeszcze w innym Towarzystwie Akcyjnym (które nazwać wprost się wstydzę) rok ubiegły dał 895 miliardów zysku, z czego na gratyfikacje i tantiemy poszło 175 miliardów, członkowie zarządu 82 i pół miliarda.

Nam proletariuszom akcjonariuszom wydzielono siedem miliardów. Mnie z tego przypada siedemset złotych.

No i gdzie tu sprawiedliwość?

Swoją drogą wściekły na siebie jestem, że ja nie jestem w żadnej Radzie, w żadnym Zarządzie ni w żadnej Komisji. Taki Pocijowski stary zasiada w dwudziestu kilku Spółkach Akcyjnych i Spółkach Społecznych. Zsiada i siedzi. Ma czas na jedne i drugie. I choć ciężki przemysł przechodzi ciężkie przesilenie, jemu jest lekko.

Odczyt Pieterkiewicza o szóstej.

Tegoż dnia w nocy o północy.

Jak Klub Klubem, jak „Koło Racjonalnego Rybołówstwa” Kołem, to tak wspaniałego ścisku, takiego tłoku, takiego rautu po prostu nikt nigdy nie pamiętał.

Wyływamy na wielkie wody!

Zacny! Światły Pieterkiewicz okrył się wielkim płaszczem chwały, a na nasze stowarzyszenie padł wielki snop światła, splendoru itp. Elita stolicy w stolicy elity, czyli śmietanka inteligencji i kwiat narodu oraz społeczeństwa u nas! U nas!

Już przed szóstą pełniutko było po ostanie miejsce. Magistrat, ministerstwa, sztab chefów, chef sztabu, wianek Galicjan z naszej dyplomacji, duchowieństwo i świeccy, kawalerowie Virtuti Restituti, żakiety, perfumy. Z teatrów: „nasza Sara”, nasza znakomita tragiczka Wanda Królikowska. Dalej Hipciowa, jak zawsze po pepek, z tyłu, z przodu i z dołu... Dalej stołeczna prasa w ogóle, a w szczególności

Goryczko i Żółzikiewicz, dalej dwóch przodowników narodu z policji, wreszcie nawet młodzież dorastająca, przy czym klub w komplecie ze wszystkimi byłymi prezesami i gospodarzami oraz ich rodzinami. Samych poczciwych a bujnie z germańska rozrodzonych blondynów Sztumpfów przeszło trzydziestu. Na estradzie obecny Wydział z prezesem Matołowiczem. Nad estradą herb stolicy pięknie wymalowany ręcznie ad hoc przez uczniów mistrza Ślaza

„Syrena, czyli życie miłosne u ryb swojskich i obcokrajowych” – tak brzmiał pełny tytuł.

Grzmot i huragan oklasków przywitał wchodzącego na estradę profesora. Ale niech nikt nie myśli, nie podejrzewa, że tylko zagadnienie erotyczne u zimnokrwistych było samo w sobie celem predylekcji profesorskiej. O nie!

Pieterkiewicz pojął swoje zadanie jako pierwszą wielką propagandę dla stworzenia wielkiej krajowej wylegarni łososiów, pstrągów, fundowanej z inicjatywy naszego „Koła”. I tak pojawiwszy ten cel, uświęcił nim środki, rzucając przed zdumione audytorium przepiękną wizję żywota płciowego u jestestw, które nawet płci nie znają! Toteż nie dziw, że z zapartym oddechem słuchano wywodów znakomitego erotologa i ichtiognosty, tu i ówdzie nagradzając frenetycznymi oklaskami co celniejsze ustępy i pomysły.

Ja, jak zwykle, stałem sobie z boku z mym notatnikiem, aby wedle starowłoskiej zasady *carpe diem non perdidit* nic nie uронić ze skarbcza wiedzy. Koło mnie stali dwaj Ramołyńscy. Ponieważ zacny Pieterkiewicz obiecał mi pożyczyć przed wyjazdem bezcenny rękopis swej „Syreny”, przeto notowałem pobieżnie.

To są rzeczy naprawdę interesujące i fenomenalne. I wstyd człowiekowi nowoczesnemu, a już co więcej, wstyd każdemu „racjonalnemu rybołowcy”, że dopiero teraz się o tym dowiaduje.

Na przykład:

Dużo ryb jest sobie po prostu hermafrodytami, tj. „obojnakami” po naszymu. Ten sam karp, śledź, leszcz, ta sama makrela jest i masculinum, i femininum jednocześnie. Na to nic już poradzić się nie da. Co więcej, nawet taka ostryga jest po prostu hermafrodytą (herr = pan i Afrodyta = pani). Ostryga jest od maja do września mężczyzną i wtedy jest naturalnie jadalną, od września do maja jest damą i wtedy oczywiście jest niesmaczną i niestrawną, gorzką, cierpką, niejadalną. Weźmy dalej przykład minogi. Tylko te jedne podobne są do człowieka pod względem dwupłciowości i związanych z tym zwyczajów i obyczajów.

Smaczniejszy jest oczywiście minog od minogi.

Teraz w ogóle co do ryb, specjalnie ryb jadalnych, tj. łososi i pstrągów. Otóż te ryby prowadzą życie erotyczne już nie tylko nienagane, ale wprost wzorowe, klasztorne, bezprzykładnie cnotliwe. Łosoś nie jest żadnym obojnakiem! Żadną hermafrodytą. O nie. W ogóle jako „on” nazywa się „klemp”, a tylko „ona” nazywa się łososiem, choć właściwie powinno się nazywać ją „łososiną”, jeżeli już nie obelżywie „klempą”.

Miewają potomstwo i to nieprzeliczoną ilość potomstwa (1500) młodych, ale bez wszystkiego. Żadnych pieśzcot, dotknięć lubieżnych, westchnień, serenad, oświadczeń, zabiegów, wałęsań, żadnych rokoszy, zrywań, rozwodów, pogodzeń się, żadnej wspólnoty od łoża, nic. Po prostu nawet się nie znają. Mają dzieci, ale się nie znają. Nawet się na oczy nie widzieli nigdy ci, co mają potomstwo!!

Łosoś nie zadaje się z żadną w ogóle klempą.

Ale nie tylko pod tym względem zachowuje się wprost przeciwnie, jak np. człowiek (tj. ssak łożyskowy) (HOMO SAPIENS). My jedziemy do morza na lato, łososie i klempy na zimę.

Na wiosnę olbrzymimi gromadami płyną sobie ku Tatrom, w górę rzek, do potoków i strumyków, po protestancku, najpierw panie, potem samce, potem młodzież i ta tworzy straż tylną.

Tak dojeżdżają do Dunajca, pod Szczawnicę, pod Zakopane i Poronin (z czego też pochodzi znany termin ginekologiczny). Tu wyszukują sobie spokojne, zaciszne kąty i gęstwiny na willegiaturę i w piasku rozkopanym składają panie ikrę i mężczyźni mlecz (nie pacierzowy, oczywiście).

Każda płeć wyczynia to oddzielnie. Naukowo już się to utarła na to nazwa tarło, choć to z rodziną Tarłów i naszym ordynatem Tarło i tarłem w ogóle nie ma nic wspólnego. Teraz przychodzi fala górskich potoków, która faluje, faluje, faluje i znów faluje i wtedy przez to falowanie łączy się ikra z mleczem, podczas gdy rodzice się ani nie widzieli, ani się nie znają. Nadchodzi zima, robią się mrozy i wtedy wszystko znów w drogę na północ na zimowy sezon do Bałtyku, gdzie już czekają na nie nasi rodacy Kaszubi i wycieńczone wysiłkiem tarła po piasku i długą podróżą w zimnej wodzie gromady klemp i łososi łapią sobie masowo i bez litości.

Nie znają się więc łososie: on i ona nie obcują z sobą nigdy, **nawet przelotnie**. Nie widzą siebie nigdy, a jednakże mają potomstwo i „gatunek zachowany”, rasa łososi czysta.

Czy można sobie wyobrazić idealniejszą, piękniejszą i czystsza etycznie formę małżeństwa?

Takim retorycznym pytaniem zakończył profesor Pieterkiewicz ustęp swój, łososiowi poświęcony, wywołując frenetyczne owacje ze strony słuchaczy, głównie męskich.

Mówił jeszcze o szczupakach, karasiach, linach, mówił bardzo, bardzo sensacyjne szczegóły o wielorybach erotomanach, którzy pod wieloma względami seksualnymi podobni są do ludzi normalnych, a nawet w miłosnych ceremoniach, podrygach i gestykulacjach, figurynkach,

fortelach i błazeństwach ich naśladowają...

Ale tej części odczytu słuchałem już z mniejszą żarliwością, gdy mnie zaabsorbował **problem rozrodczości** łososi i zachowania gatunku! Zachowanie gatunku! Rasy! A bez małżeństwa.

I oto znów znalazłem w tym łososiowym pożyciu stwierdzenie **teorii naczelnej** doktora **Caro**, że można „gatunek” zachować, ergo, że można też gatunek uszlachetnić, rasę naprawić bez promiscuicji płci, bez fizycznej amalgamii, ergo, że nie potrzeba do wytwarzania potomstwa, czy **gatunku wyższego, sprytniejszego, wyrafinowańszego, energiczniejszego, aktywniejszego** łączyć się w stadła z osobnikami *generis feminini* z rasy panów (Herrenvolk czy narodu wybranego – Bergshon, Einstein, Columb, d`Annunzio Rappaport, Lasker, Spinoza etc.).

Rasowość łososi stwierdza też, że mogą być i inne sposoby multiplikacji i ewolucji ku wyższemu gatunkowi!!

Toteż i ta prelekcja mojego przyjaciela Pieterkiewicza nappełniła mnie jeszcze większą otuchą, wiarą w przyszłość, optymizmem i silną radioaktywną nadzieją w przemianę, w **wielką** przemianę, w **możliwość wielkiej polskiej przemiany**.

Humor tego przedostatniego wieczoru przepędzonego w ojczyźnie zepsuł mi oczywiście (jak tyle zresztą razy) były prezes Pocijowski.

Kolacja była galowa o dziesiątej z paniami. Ja siedziałem między Hipciową (omal zupełnie gołą aż do miejsca, gdzie się u człowieka zaczyna wycięta ślepa kiszka) a starym mantyką, który wobec entuzjazmu, panującego na sali, i podzwrotnikowej temperatury towarzyskiej, i tych wszystkich w ogóle reform i metamorfoz w Klubie, miał minę pogrzebową i skrzywioną, jakby połknął ropuchę albo jeża.

Ledwie tylko zaczęliśmy się z Hipciową entuzjazmować

i prelekcją, i kolacją, szczególnie delektując się drugim daniem, tj. sandaczem, gdy Pocijowski z jadowitą, jaszczurczą miną zagadnął:

– Zgadnijcie, najmilsi, jaki to sandacz?

– No, przecież wiemy z menu, à la Szuwałow.

– Nie o to się pytam państwa... Tylko skąd może być?

– Z wody.

– Ale z jakiej?

– Z morskiej!... Z mokrej!

– Koncept, ale bardzo stary. Nie o to się pytam... Ale czy import? Czy tutejszy?

– Oczywiście, że nasz, oczywiście, że domorosły, wodomorosły, swojski, rodzinny, wiślany, bałtycki.

– Akurat. Hu-hu-hu. Otóż właśnie, że nie. Nie macie pojęcia, jak widzę, najmniejszego pojęcia. Ha-ha-ha! To jest sandacz rosyjski. Hi-hi-hi... Nasza gospodarka rybna jest cała pod zdechłym Medoquiem. Trzebienie lasów wpływa na to, że ryby z kretelem sobie wymierają. Pstrągi u nas wymierają galopem. Rybostan z roku na rok coraz gorszy. He-he-he. Bolszewiki już nas zasypują rybami. Pięć wagonów szło do nas już w zeszłym roku. Hy-hy-hy. A kilo rosyjskiego sandacza jest w Polsce o pięć razy tańsze od polskiego. Hi-hi-hi.

– A niech sobie będzie tańszy, byle był smaczny – odparła mu Hipciowa.

– Zresztą zarabiają na tym imporcie i nasze firmy. I to coś znaczy.

– Nasze? Nasze? Hi-hi-hi, he-he-he... Także się z tym wybrał, panie Kołtoński. Pan masz wyobrażenie o koniunkturze na rynku rybnym, o firmach rybnym, he-he-he...

– Będę miał, gdy wrócę z zagranicy, to i tym się zajmę, i na to wyglądnę, i to zreformuję od podstaw. Racjonalne

rybołówstwo postawimy na wyżynie zawrotnej!...

– Ślicznie. Ale tymczasem się pan dowiedz, że są w mocarstwie naszym dwie firmy chazarskie, które regulują cały handel rybny, firmy kawiorowe, które handlują z Rosją i dostają wagony ryb omal gratis za pchanie kawioru na zachód. My z naszych ryb mamy zaledwie 8 procent zarobku. Tyle co z nafty! Z drzewa! Z węgla! Ze wszystkiego!... Śliczna rasa! Ani do Sasa, ani do lasa... Hu-hu-hu.

– Och, żeby się tak udławił tą ością, którą w zębach trzyma – szepnąłem teraz półgłosem do gorsu Hipciowej.

– I z tej racji zamiast odczytu o tym, jak ryby się parzą i kopulują, może lepiej byłoby...

Nie dokończył już stary, bo nagle spaśowiał, ryknął, zakasłał, zakrztusił się i zaczął się dławić i dusić, i prężyć. Zamieszanie się zrobiło przy stole i przerażenie, i popłoch, żeby nam w taki dzień spektaklu nie zrobił na całego.

Dopiero kiedy go z wyjątkową, bo i samarytańską satysfakcją, zacząłem walić pięścią w kark tak, że aż zadudniło, puściło mu gardło ość wyjątkowych rozmiarów.

I odtąd siedział cicho i tylko jadł za dwóch i pił za trzech.

Ja zaś zająłem się intensywnym zapuszczaniem żurawia aż do samego dna studni rozkoszy Hipciowych...

4 lutego

Przepisane dzisiaj z „Dziennika Sarmackiego”:

„Na posiedzeniu Komisji Ligi Narodów dla współpracy intelektualnej Henryk Bergshon powitał Alberta Einsteina, który ponownie wstąpił do tej Komisji, w tych słowach: Czyn Einsteina jest największym wysiłkiem, jaki kiedykolwiek uczynił człowiek od niepamiętnych czasów, by unicestwić granice umysłu ludzkiego. Einstein stworzył teorię, która da początek najważniejszym odkryciom XX wieku. Einstein pozyskał znaczną część ludzkości na obu półkulach dla swojej

teorii. Od czasów Kopernika i Newtona ludzkość nie wydała większego geniuszu itp., etc.

Tyle stało w „Dzienniczku”.

Wczoraj zaś już opowiadano na mieście, że Olgierd Bergshon, znany przemysłowiec i sportsmen, zaręczył się ze skompromitowaną Myrtą Einsteinianką i że ślub odbędzie się jeszcze w bieżącym karnawale.

Oto jest chazarska solidarność.

A u nas? A u Sarmatów? Nie wiem, jak tam jest u naszych uczonych, czy też się tak wychwalają, jak te dwa filozofy zagraniczne, ale to wiem od przedwczoraj, że Żółzikiewicz pokłócił się z Goryczką na całego, że wystąpił z „Dziennika” i że wczoraj już o Żółzikiewiczu bardzo szpetnie napisano w „Dzienniku”, niby bez nazwiska, ale łatwo się i głupiemu czytelnikowi domyśleć, o co chodzi.

Żółzikiewicz był w Klubie i opowiadał nam w większym gronie, w czym rzecz: zakłada już konkurencyjny „Głos Sarmacki”.

Otóż prof. Goryczka (z zawodu zresztą weterynarz i podobno specjalista w tej dziedzinie), jako polityk we frakcji konsekwentnych republikanów, reprezentuje skrajne skrzydło tak zwanych ortodoksów.

Żółzikiewicz zaś jest leaderem „Umiarkowanych Sarmatów”.

Nadto Goryczka w wolnych chwilach pisze na 3 Maja, na Wielkanoc oraz na Boże Narodzenie bardzo długie i rymujące się okolicznościowe wiersze, zaczem jest takim poetą na domowy Patrii i Partii użytek, podczas gdy Żółzikiewicz ostentacyjnie brzydzi się, a nawet gardzi łatwym rymem, a w wolnych chwilach nazywa Goryczkę „Pobiedonoscewem”, „Torquemadą”, a jego rymowanie „obskurantami sarmackimi”.

Stąd tarcia od lat wielu. Ponieważ zaś bratowa



Żółzikiewicza wyszła drugi raz za mąż za jednego z Frankowskich, więc Goryczka podejrzewa Żółzikiewicza o kontakty z frankistami i gdy jest w dyshumorze (skoro tylko źle mu karta idzie przez dwa wieczory) lub frakcja republikanów ponosi jakąś piekielną porażkę polityczną (a to się zdarza co trzeci dzień powszedni i w każde święto w roku), zwykle zwała całą winę na Żółzikiewicza, nazywając go to frankistą, to żyrondytą, to anabaptystą, to zgoła „Chazarem”...

W Klubie wszyscy, co są powyżej lat 55, przychylają się ku Goryczce, zaś ci, co poniżej – ku Żółzikiewiczowi.

Przedwczoraj wybuchł u nich w redakcji konflikt na tle psa (P.S.A.).

Goryczka, jako stary kawaler, zafundował sobie od niedawna buldoga obrzydliwego, starego, kaprawego, którego nazwał „Chochoł”, a który przeraźliwie ujada i wyje na każdego, kto wchodzi do redakcji, odstręczając do reszty interesantów i zbieraczy anonsów i stronników dla partii. Żółzikiewicz, który normalnie pasjami lubi psy, a już specjalnie egzaltuje się do buldogów, atoli „Parchoła” nie mógł znieść od samego początku, szczególnie zaś od **zeszłego czwartku**.

Zeszłego czwartku przyszedł bowiem do redakcji z wizytą, bawiący obecnie w ojczyźnie, jedyny polski dyplomata, a nie rodak dzielnicowy Kolumba (nie Galyeos – Galicjanin), należący do frakcji republikańskiej, Sarmata, synowiec ś.p. Podfilipskiego, a nasz pan poseł w Polanegri. Że miał futro z kołnierzem małpim (U-Y-STITI), a buldogi tych małp organicznie dziedzicznie nie znoszą, więc psisko rzuciło się z furią na ostatniego i jedynego ambasadora Sarmatę i zanim śpiący przy swoich biurkach żurnaliści się spostrzegli i zdążyli przybiec na ratunek, ambasador w Polanegri leżał na ziemi poszarpany i pogryziony, broczący krwią, podczas gdy dzika

sobaka kolejno obrabiała zębami broniącego Podfilipskiego referenta sejmowego „Dziennika Sarmackiego”.

I wtedy to Żółzikiewicz, zaraz po wyjściu posła, postawił Goryczce ultimatum:

– Albo Parchoł albo ja!

– Jeżeli pan tak stawia psa na ostrzu noża, to kwestia już jest rozstrzygnięta.

– W sensie?

– Pańska dymisja przyjęta. Damy sobie radę i bez żyrondyistów.

Jeszcze Żółzikiewicz nie zdążył zapakować swego „Underwooda” i jeszcze żegnał się z kolegami, kiedy Goryczka w swoim gabinecie (godnym nie tylko szefa, ale szewca pokątnego) już pisał artykuł lekko insynuujący, że Żółzikiewicz jeżeli jeszcze nie był kiedyś utajnionym rojalistą, to w każdym razie będzie, a tymczasem już zanadto coś podejrzanie agituje za ugodą z Kownem i Kowniarzami.

W Klubie przychyła się opinia stanowczo ku Żółzikiewiczowi.

Bracia Sztumpf z miejsca ofiarowali mu się z subsydium jednorazowym na nowy organ. Mnie, osobiście mnie (jako Kołtońskiego) sprawa ta specjalnie obchodzi, gdyż po sumiennym przestudiowaniu przez trzy lata „Zmierzchu Zachodu” („Untergang des Abendlandes” – Spengler scripsit) doszedłem do wykrycia, dlaczego to wszędzie opadają (Untergang) Zachodowcy (Okcydentale – Ariowie) na benefis Orientalów (Chazarów).

Oto przez niesolidarność i nielojalność wzajemną.

Jak to wychwała w Genewie taki Bergson takiego Einsteina? Jak to w krytycznym momencie ratuje opinię takiej „Myrty” taki „Olgierd”? Jak to trzymają się za ręce w łańcuszku czy na pasku nasi Chazarowie?

A u nas?

Jak to osłabiają się wzajemnie przez lata całe i Lechici, i Sarmaci ma benefis tych trzecich (*Omne trinum perfectum*).

Siódmy już rok, odkąd mocarstwo nasze nastąpiło, wrę takie cacy-walki Gwelfów z Gibelinami, rojalistów z republikanami, Sarmatów z Lechitami, a tymczasem trzeci (tertius gaudenty) korzysta, zagarnia lasy, kopalnie, naftę, ryby, grzyby, azot, tlen, gałgany, domy, drukarnie, huty, pałace, miasta, wszystko, co po drodze.

Tak czy nie tak? Przesadzam czy mówię prawdę? A przyczyna tego „Zmierzchu Zachodu” w Polsce i przedświtu Wschodu (Grand Orient), czy tylko niesolidność? Otóż nie. Także i niesolidarność, zawadiactwo, zadzierzystość, pieniactwo, kłótniwość, zwady... Nie mówię już o zremontowaniu frontu wspólnego Sarmatów z Lechitami, bo to niemożliwe. Ale uderzmy się wzajemnie w piersi. U nas, Sarmatów samych, czy może zajść dalej obustronna i wzajemna nielojalność? Gorliwsze podstawianie sobie nóg i stołków? Szybsze kopanie dołków pod sobą? Namiętniejsza porywczność w dyskredytowaniu samych siebie?

Konflikt Żółzikiewicza z Goryczką dał nam dziś w Klubie sporo materiału do dysputy wieczorem. Wrzało jak w ulu. Ci za Soplicą, ci za Horeszką, ci za Gawłem, tamci za Pawłem.

Przy tej okazji pokłóciliśmy się cokolwiek na zabój ja z Homeopata, którego kretynizm człowieka i o świętej cierpliwości może wyprowadzić z równowagi.

Dałbym na jakiś cel dobroczynny (mimo tego, że ze mną finansowo krytycznie) krągłe 100 złotych albo i 10000 akcji, żeby tego kretyna, irytującego nas, wyrzucili z Klubu! W dyskusji zgodziliśmy się niby we wszystkim. I on też był za Żółkiewiczem na całej linii i we wszystkich punktach. Ale, gdy przyszło do tego, czy Żółkiewicz dobry **moment** i właściwy **motyw** wybrał do rozwodu z Goryczką, to

Homeopata zaczął oponować tylko dla samej pasji oponowania.

„Pies pospolity (*canis vulgaris*), i to jeszcze buldog, nie może być kamieniem obrazy” – krzyczał, widocznie podchmielony i pijany jak król Bela.

„Przez buldoga nie może przyjść do rozłamu wśród Sarmatów” – wył jak opętany.

Ja mu na to kilka słów do słuchu. Potem on mnie. Znowu ja jemu. Znowu on mnie. I tak od słowa do słowa przyszło zgoła do ordynackiej awantury, która mogłaby się skończyć rękoczynnie, gdyby nie wrodzony dziedziczny takt Kołtońskich, moja indywidualna zimna krew, no i ta okoliczność, że nas szybko rozerwało i odrodziło ze 30 członków, perswadując i przekładając, że to skandal o taką bagatelę.

Taki kretyn, taki podrzędny homeopata ośmiela się decydować o motywach i momentach! To niesłychane!

Miałem więc na miejscu, zaraz w Klubie, naocznie przykład w Homeopacie, do czego dochodzi ta sarmacka nieszczęsna, nieuleczalna kłótność, zadzierzystość, **niesolidarność** u „najmłodszych z Ariów!”.

Szczęście, że już wnet wyjeżdżam z Warszawy, gdyż inaczej absolutnie postawiłbym Klubowi ultimatum: albo ja, albo ten hemoroidalny pokątny znachor.

10 lutego

Wszystko już spakowane i gotowe do drogi.

*Alea iacta est.* Sleeping do Wiednia na pojutrze. Paszporty jak za dawnych czasów, tylko więcej pieczęci, bo siedem. Przekraczam Rubikon. W nocy śnił mi się mój abisyński Falasza Izmael ben Matuzalem. Kiwał do mnie serdecznie kędzierzawą główką i dawał znaki rękami, żebym się pospieszył.

Chciałem rano może iść do spowiedzi, ale się namyśliłem i pójdę do okulisty, żeby mi skontrolował wzrok, bo nużby mi ksiądz przy spowiedzi dał dłuższą pokutę? I wtedy co?

Wojciechowa z kawą weszła bardzo wcześnie i zaprasza na zareczyny swojej córki, tej starszej z brodawką (myszka), z dzokejem Jackiem Bolsem, synem Jędrzeja Wąsika, portiera w naszym Klubie. O ósmej w mieszkaniu Wąsika, recepcja w suterynach, w oficynie koło naszego Klubu. Pójdę, pobłogosławię, dam coś ciepłą ręką, bo Pepcia, jeszcze dziewczynką, zachodziła do mnie czasami rano na przekomarzanki i ślicznie deklamowała bajeczki z „Nowego Jachowicza”, szczególnie te:

„Nie ma kresu bez zdjęcia dessous”...

„Tylko ostrożnie! I nie obłożnie!”...

Najniespodziewańsza wizyta Wiktora Ramołyńskiego o dziesiątej rano. Zziąjany, podniecony, podekscytowany (babka – baronówna Joselewiczówna). Rozповідаa tedy, że całą noc nie spał. Zrobił wynalazek epokowy. Nie chce już słyszeć o fabryce bawełny strzelniczej czy sztucznego jedwabiu, a tylko o tym nowym, najnowszym. Ja żebym mu pomógł i zainteresował nim Zagranicę!

Sława będzie dla narodu. Duży interes dla nas obu. Ponieważ jadę do Włoch, to może by „Banca Commerciale”?

O co się rozchodzi?

Oto teraz przednówek. Drożyzna wzrasta w kraju wskutek zeszłorocznego nieurodzaju. Nieurodzaj zaś jest zawsze, albo przez okropną suszę, albo przez przesadne opady wodne. Deszcze i ulewy sprowadzają zawsze wezbranie rzek, z których żadna dotychczas nie jest uregulowaną (łącznie z królową rzek, modrą, ale niemądrą, Wisłą). Ale mniejsza z tym. Nie ma co mówić o uregulowaniu rzek bez uregulowania budżetu; teraz w okresie **stabilizacji stagnacji** i utrwalenia kryzysu tym bardziej. Ale temu

wszystkiemu można zaradzić. Można uregulować palącą kwestię opadów wodnych.

I tu dzielny „nasz Edison”, jeden z tych wynalazców, którzy co dzień w innej dziedzinie robią jakieś kapitalne odkrycia (a którymi Opatrzność dość hojnie nas zasypuje), rozłożył na stole dużą mapę, całą zarysowaną i zamalowaną, zacyfrowaną i zaczął mi demonstrować.

– Jak zapobiec zbytnim deszczom i gradom? Przez rozpraszanie chmur i obłoków. Za dużo u nas deszczów. Otóż zawrzeć trzeba roczny kontrakt z „Aeroloydem”. Każdy Junkers może zabrać ze sobą 40 kg piasku i pewną instalację elektryczną z prądnicą poruszaną przez małe śmigło. Instalacja pozwala naładowywać piasek elektrycznością dodatnią lub ujemną do bardzo wysokiego napięcia... Otóż, proszę ja pana, ten piasek naładowany jest do 10000 wolt. Tak?

– Tak. I owszem. Czy nie za dużo?

– Nie. Każde ziarnko piasku na ładunek 0,00007 jednostek. Tak?

– Ależ naturalnie, bezwzględnie.

– Otóż ma pan duży majątek ziemski? Tak? Jest koniec żniw? Mają zwozić do gumien. Tymczasem ludzie meldują, że idą groźne chmury z zachodu, z północy, z południa, jak pan chce.

– Tak, tak...

– Powiedzmy z północy... z północy. Dobrze? Telefonuje pan do Warszawy; województwo to a to, powiat ten a ten. Przyjeżdżajcie natychmiast. Majątek na Kresach, dajmy na to. Tak?

– Broń Boże, ale może być. I co teraz?

– Co teraz? Co teraz? Junkers pędzi i leci. Przybywa w trzy godziny. Obłoki teraz powoli sobie nadchodzą i nadchodzą... nadchodzą. Maszyna na wysokości 1800

metrów staje nad zwałem chmur i zaczyna akcję. Co? He? Świetnie?

– Kapitalnie!

– Wszystko to trwa 5 do 10 minut. Chmury mogą mieć do 56 wiorst długości nawet, a 100 metrów grubości. To nic! Obojętnie. I teraz rozsypuje się nasz piasek, rozsypuje błyskawicznie z pomocą innego aparatu reżyserującego, a w otaczającym suchym powietrzu zaczyna się wilgoć rozpraszać! Tworzy się coraz szerszy otwór w mgławicy i w kwadrans, no, w 16 minut masz pan w swoim majątku pogodę, a u sąsiadów dokoła ulewa wali jak z cebra. Co? He?

Tak perorował Ramołyński, wiodąc nerwowo palcami po mapie całej Polski.

W takich wypadkach, jak doświadczenie uczy, nie należy ani słówkiem cośkolwiek oponować, gdyż demonstrowanie wynalazków może się przeciągnąć do północy. W groźniejszych przypadkach może nawet wystąpić atak szału.

– Doskonale! Wynalazek jest epokowy. Plany biorę z sobą do Mediolanu. Skoro tylko uda mi się przekonać dyrekcję „Banca Commerciale”, telegrafuję do pana. A teraz wyjdźmy na miasto, gdyż mam jeszcze kilka spraw i sprawunków do zlikwidowania...!

Po czym padliśmy sobie w objęcia i wycalowali z dubeltowy.

I pomyślałem ja sobie: „Teraz, dziś, to on biedaczyna ma fioła w każdym pomyśle, wynalazku i odkryciu, jakaś myłkę organiczną w kalkulacji. Ale jest na mojej liście Kawalerów Dr. Caro. Więc przejdzie kurację solidnie i systematycznie, organizm jego wzbogaci się o przeszczepione gruczoły z wybranego szczepu Falaszów. Wpłynie w jego żyły krew ta, co w Fonterozach, Spinozach, Koilumbach, Laskerach, Einsteinach, Bergsohnach. Mózg ulegnie regeneracji. I do

Ojczyzny wróci naprawdę, serio genialny wynalazca bez fioła już, a z szóstą klapką.

Wyszliśmy z Ramołyńskim o 11-tej.

W Klubie krótkie śniadanie – pożegnanie serdeczne z Pieterkiewiczem. Oziębłe i sztywne z Homeopsychopata, który ośmielił się czelnie pozwolić sobie na jakąś głupowatą aluzję co do mego wyjazdu i nadziei z tym związanych. Bęcwał, który (choć z powołania homeopata) doradzał mi przez dziesięć lat z rzędu objadanie się kolejno wszystkimi anonsowanymi w „Kurierku” i w „Dzienniku” specyfikami, urodonalami, fosfatynami, fitynami, neofitami, granulkami itp. i doprowadził mnie wreszcie do „**perdurantia cerebrialis partialis**” (częściowe przetwardzenie mózgu), teraz ma czelność pokpiwać sobie ze mnie, kiedy ja przekraczam Rubikon i, poddając się pierwszy kuracji doktora Caro, **wskazuję ziomkom drogę** do regeneracji, do juvenilizacji, do młodości, do wiosny, do słońca!!!!

Tego samego dnia w nocy

Wieczorem na zaręczynach Pepci (córki Wojciechowej) z Wojtkiem Wąsikiem (Johnem Bolsem, dżokejem stajni wyścigowej ordynatów Tarłów). Teraz takie wizyty się praktykują, bo jest period demokratyczny i wszyscy sobie równi i niepodlegli.

Nie wiedziałem, jak to tam będzie, więc nie wbiłem się w zakiet, a tylko tak po prostu wybrałem się w marynarkowym, ani nie przeczuwając gali. W tym samym domu, gdzie Klub, w oficynie, w sutenerach schodzi się po schodach do piwnicy. Wybraliśmy się razem z prezesem Matołowiczem, bo tylko jego prosił z całego Klubu stary Wąsik. Matołowicz w smokingu już po operacji wygolienia i wystrzyżenia całego ciała.

Wchodzimy przez kuchnię, gdzie jakieś damy smażą



i warzą kolację. Jacyś młodzi ludzie pomagają nam zdjąć futra. Jędrzej wita nas wzruszony. Poważne „shakehands”, a mnie pada w objęcia. Wycalowaliśmy się z dubeltowej i wchodzimy dalej do dużej izby jarząco „ostramówkami” berlińskimi oświeconej. Tu już tańczą przy gramofonie amerykańskim, oczywiście „Jawę”. Przecieram oczy, czy na jawie, czy sen?

Towarzystwo wcale niczegowate. Wąsik przedstawia nas kolejno różnym grupom gości – pan Kołtoński, pan Matołowicz. Pepcia w tańcu dostrzegła nas i uprzejmie kiwa główką i rączką. Tańczy z jakimś pułkownikiem, tak, pułkownikiem sztabu. Dokoła panny i panie wcale, wcale. Włosy ondulowane i fryzowane. L`Origan i Houibigant. Przeciskamy się między tańczącymi i stajemy z boku, a zacna Wojciechowa ubrana w czarną suknię z żetonu czy z żetonami bierze nas obu pod ręce i objaśnia uprzejmie, ale godnie. Tyle, że ma duże wypieki na buzi i trochę od niej jedzie akwawitaminą. Rozglądamy się dokoła nie bez zdumienia.

Ja przygotowany byłem na to, że powinszuję zaręczonej parze, wypiję kieliszek, dam swój prezent i wyjdę na górę do Klubu, że będą tu w ogóle ludzie mniej okrzęsani, prości – lokaje, szwaczki – coś takiego. A tu widzimy socjetę jak się patrzy. Damy we wcale gustownych toaletach, pantofelki szyk, pończoszki cieliste jedwabne, włosy przeważnie po kozacku przystrzyżone à la garçonne, to jest jako „chłopaczynki” czy „dziewczaki”. Houibigant i L`Origan. Mężczyzny to tam rozmaitego fasonu i sortu, ale ci co tańczą – correct, niektórzy ubrani first class. Oficerów naliczyłem czterech, jeden kapitan.

Wojciechowa objaśnia: ta tu to plisowaczka, ta w beżowej masażystka... tamta wysoka blondyna to żona tego montera niskiego. Tamta wygolona po pasek top egzaminowana akuszerka, ale będzie wnet hrabiną, bo jest

narzeczoną tego szofera łysego, co ma swój samochód pod Foksałem, a mówi niedobrze po polsku, bo to kamerjunker graf Szuwałow... A te dwie przystojne jednakowo ubrane to manekiny od Hersego. A ta gruba fryga, co tak hula jak zatracona, to dyrektorka departamentu w ministerstwie robót publicznych.

Czasem to tu przy tych objaśnieniach dolatywał i zapach gorszejszy, skondensowanych wypocin, ale przeważnie Houibigant i L'Origan. Przede wszystkim zaś, co od razu rzucało się w oczy, to to, że goście wszystkie jakoś dobrze odżywione, zdrowej cery, niewychudzone przednie odnóża, choć tu i ówdzie niedomyty karczek, a żałoba po odpalonych konkurentach za paznokciami, ale gatunek zdrowy, dziarski, silny, **nadchodzący**.

Po chwili zapoznaliśmy się z pułkownikiem sztabu jeneralnego. Młodziutki, symatyczny chłopczyzna, okazało się, że służył w II oddziale naczelnego dowództwa, a teraz zostaje attachem naszego poselstwa w Lizbonie. Z zawodu Galicjanin (jak w naszych sferach i Kolumb, który przecież też był Galeyo), a więc baczki à la Pepi Poniatowski, na nosku „cwiker” jak mówią w naszych sferach ministerialnych, ale sympatyczny i wygadany. Po jawie tańczą „fox – terriera” tego znanego („Betsy y lowe you nur dise eine Nacht und nackt”), tak samo, jak w resursach i dancingach czy u ordynatów, tylko nieco przyzwoiciej. Równocześnie na tacach roznoszą Malagę i Maderę (?). O dziewiątej Wąsikowie proszą do „jadalki”. Otwierają się szeroko drzwi, a że nie sposób już zwiać, więc prezes bierze pod rękę moją Wojciechową, dyrektor departamentu zacną Wąsikową, pułkownik sztabu jeneralnego Papcię, szczęśliwy narzeczoną jakąś malowaną ale fresko damulkę, która jest ponoć reporterem „od bali” i „rautów” najpoczytniejszego dziś w stolicy organu nie tyle wstydlivego, ile bezwstydnego. I maszerujemy do stołowego.

Tableaux!

Tak! Tu nie znać „ciężkiego położenia w kraju” ani deruty gospodarczej, ani kryzysu w industii, ani **stabilizacji stagnacji**. Ciasno jest, ale własno, nieco duszno, ale przejdzie. Długi stół aż się gnie. Trzy półmichy nakrajanego indyka, olbrzymie sterty sardynek francuskich wyłożonych z puszek, dwie miednice majonezu z homarów. Na komodzie, na szafach – ciężkie baterie win. W blaszanych kubelkach mrozi się szampańskie (rumuńskie, ale szampańskie!). Dostrzegam kawiorek w kilku puszkach rozwartych... Winne gronka... figi, daktylki... ananasy...

Odetchnąłem z ulgą. No więc nie jest tak źle w ojczyźnie, kiedy klasa fizycznie pracująca może sobie takie zrękowiny aranżować. Jakoś to będzie. Nie damy się, nie damy! Byle tylko bractwo częściej się kapało i pedantyczniej myło i podmywało.

Siedziałem między dyrektorem departamentu (w Ministerstwie Ochrony Robót) a jakąś panią o cudownie wymanicurowanych bardzo grubiuchnych paluszkach, która (jak się okazało z rozmowy) była masażystką, a kształciła się na śpiewaczkę operową.

Koniak Meukowa? Do tego trzy kwiczołki!... Potem pulardka.

Przez ten czas dyrektor departamentu zabawiał mnie pouczająco o naszym drogostanie. Nie miałem mego notesika pod ręką, alem co nieco zapamiętał. Katastrofalny ten nasz drogostan. Wszystkiego razem mamy 12000 km dróg państwowych, a 44000 dróg gminnych (tj. jedna dziesiąta tego, co ma Kanada, a jedna piąta tego, co w Transwalu), a jednak więcej od takiego Czarnogórza (oraz więcej od Konga). Żeby się zrównać pod względem drogostanu z Wielkopolską, musimy wybudować 60000 km dróg i szos, co dałoby się skutecznie w przeciągu 50 lat, gdyby rząd

dawał tyle a tyle. Wobec tego żadnej nadziei nie ma. Mocno nas poreperowały pod względem drogostanu szelmy Prusaki, które w dwa lata dały nam w czasie okupacji 3000 km dróg bitych. Myśmy zaś w przeciągu lat 5-ciu w naszym mocarstwie wybudowali 600 km dróg (co prawda już trochę się psujących). Jeżeli tym tempem pójdzie dalej, to zrównamy się z Wielkopolską dopiero koło roku pańskiego 2120. Kto tego doczeka z żyjących dzisiaj?

Opowiedziawszy mi o tym wszystkim jednym haustem, gołnął dyrektor departamentu (widocznie z desperacji) duszkiem trzy kieliszki portweinu, po czym zaczął jeść, a właściwie objadać się i tak jadł aż do północy, truchtem już nie wtrącając się do konwersacji i wprost już nie odpowiadając nawet na pytania.

Od mojej sąsiadki (masażystki z lewicy) dowiedziałem się, że dygnitarz nazywa się Wąsik, jest stryjecznym bratem Jędrzeja, w roku 1915 emigrował do Rosji. Tam odznaczył się jako bolszewicki komisarz, po czy nawrócił się do Polski, zorganizował dwa strajki agrarne, wreszcie zmęczony tym wszystkim, przeniósł się do ministerstwa. Ma za to wszystko Polonia Resituta, Virtuti Militari, jedną żonę Rosjanekę w Charkowie, drugą „chazarę” w Krakowie i gra na bałajce cygańskie romanse.

Po kolacji nam taki zagra.

Z charakterystycznych momentów muszę zanotować jeszcze, że gdy przy stole któraś z „chłopczyneków” czy „dziewczaków” zapaliła papierosa, to moja Wojciechowa z miejsca na głos zwróciła jej uwagę, że palić można tylko w sieni, w kuchni lub w lokalu zupełnie ustępowym, bo mieszkanie ciasne. Słusznie. Albo jest savoir vivre, albo go nie ma.

Oficerowie nasi, zaobserwowałem, noszą przeważnie orderzy „bałkańskie” i „bałtyckie”; angielskich stosunkowo

mało. Mundury natomiast nie powinny być tak zaplamione ani angielskim sosem, ani atramentem, raczej czyste.

Prezent wręczyłem Pepci po kolacji. Wzruszona, miała łzy w oczach, prosiła tylko, żeby jej często przysyłać widokówki. Po północy wielu gości już wstawiło się w sytuację nieco zawianą.

Byli to najwidoczniej ludzie najsumienniejsi pojmujący swe obowiązki obywatelskie, gdyż monopol spirytusowy musi w tym miesiącu dać państwu minimalnie 12 milionów złotych (więcej od tytoniowego). Im kto więcej tedy „spożywa” spirytualiów, tym większy spłaca państwu w tej formie podatek pośredni. Słusznie więc, że ci, co nie mają żadnego majątku i wobec tego nie płacą podatku majątkowego, przynajmniej w ten sposób uiszczają swą daninę. Dyrektor departamentu stosunkowo najbardziej się monopolizował, po czym zagrał nam „kozaka” na bałajce, a sztabowy Pepci w „cwikierze” tańczył solo z prysiadami (wbrew całemu swemu, zdawałoby się, politycznemu światopoglądowi).

Opisuję to wszystko z tej racji tak skrupulatnie, ponieważ pro primo pełen wrażeń w żaden sposób zasnąć nie mogę, pro secundo na pierwszym piętrze mojego trzeciego piętra u mecenasa Grünspana jest bal i właśnie tańczą mazura z oberkiem (Joselewiczem), a pro tertio jestem głęboko wzruszony tym, że ostatni mój wieczór w Ojczyźnie przed **wielką przemianą** spędziłem jakby symbolicznie, bo demokratycznie, wśród ludu naszego, wśród warstwy pracującej fizycznie, prostej, młodej, szczerzej, naturalnej. Nawiasem mówiąc, rozkosz pomyśleć, jak ten nasz rdzennie sarmacki gmin wiejski i miejski jest podobny do nas, po prostu dalszy ciąg czy popularne wydanie tego, co wczoraj. Jak dwie krople wody. Jak towarzysko łatwo i prędko się to wyrabia i szlifuje. Kość z kości! Tak samo – zastaw się i postaw się, „czapką, papką i solą ludziedzi niewolą”...

Przecież taka recepcja dzisiejsza to musiała kosztować bająnskie sumy? Chyba folwark za to można by kupić?

Takie Szwaby ordynarne albo Czechy chytne, albo Szkoty obrzydłe czy Szwajcary nudne toby wolały za taką sumę nakupić betów do łóżek, pościeli, bielizny, gratów, kwiatków do okienek, firanek, klateczek z kanarkami, obrazeczków, oleodruczków, nieruchomości albo i nierogacizny. Boga chwalić, że my „morituri” i oni, co idą po nas, nie są jak te Szkoty, Szwajcary, Szwaby itp.

**Postscriptum:** Co prawda: *Ave Izrael morituri te salutant...* niech sobie tak mówią tylko ci, co nie jadą do ojczyzny doktora Caro.

Ja jadę.

12 lutego

Żegnam się z miastem, z mieszkaniem, z „Pamiętnikiem”, z Wojciechową, z przeszłością, z terażniejszością, ze sobą samym. Graty idą na skład, „Antropologia” zapakowana i z nią Cicerone Baedeker po Florencji i nowy rewolwer w palcie.

Rano kąpiel ostatnia.

Śniadanie pożegnalne z „X”. „X” był bardzo uroczysty i poważny. Dawał jeszcze ostatnie rady i instrukcje. Spokój, zimna krew, nie przejmować się. Warunek *sine qua non plus ultra*: przerwanie wszelkiego kontaktu z krajem w czasie kuracji. Ani jednego listu! Ani jednej kartki! Ani telegramu, ani do rodziny, ani do obcych, po prostu jak kamień u szyi i w wodę.

Dopiero po wszystkim, mniej więcej z końcem marca zdekonspirowanie, zaagitowanie i sprowadzenie pierwszej partii rodaków i to trójkami. Ja już wybrałem. Na pierwszy ogień Pieterkiewicz, Łykowski i któryś ze Sztumpfów, potem druga trójka, trzecie, piąta, siódma, w ostatniej dopiero

„Homeopata”.

O jedenastej „X” wyszedł, otrzymawszy stosowny upominek: papierośnicę złotą z osiemnastego wieku w stylu Ludwika XV. Zaraz po nim przyszedł Matołowicz, tak że miałem pewne obawy, czy się na schodach nie spotkali. Ale zdaje się, że nie.

Z Matołowiczem ostatnia przejażdżka po mieście. Wziąłem dwukonkę jak za dawnych, dobrych czasów i kazałem stępa jechać do Zamku, potem w Aleje, Belweder, Bagatelę i Marszałkowską, Królewską na Teatralny...

To się wszystko musi zmienić. Tak dalej być nie może. Nam się taka stolica może podobać, bośmy się przyzwyczaili, ale to nie jest żadna stolica. Obcy, cudzoziemcy, turyści, dyplomaci itp. to nam to w oczy chwalą, ale poza oczy kpią na funty szterlingi. W najgłówniejszych arteriach parterowe rudery, szalety, parkany! Obdrapane to, brudne, wali się. My to zmienimy. Dwudziestka to zmieni. Te bruki, te trotuary, te balkony, te witryny i wystawy sklepowe, szyldy. Prowincja! Czysta prowincja! Brudna prowincja! Czasem coś przypomina czy zerwie z Europy jakiś front, jakiś dom, ale częściej przypomina się Łuck, Grodno, Trembowla, Bródno!

Do tego można się przyzwyczaić i z tym się oswoić. Nawet takie cudactwo pokochać. Ale kontentować się tym nie można, bo tak „rozbudowana” Warszawa, to jakby powiększona redakcja „Dziennika Sarmackiego” na Pradze, gdzie brud, nonsens, stęchlizna, kalectwo dały sobie rendez-vous... Podobne to do Paryża jak rzepa do ananasa. Ale co się przystawiać do Paryża? Niełaska z Hagę, Kopenhagą, Pragą?

Ale i to salony wobec naszej graciarni czy lamusu. Kochać to można, ale kontentować się takim obozowiskiem murowanym? Nigdy! **Ale my to zmienimy.** W przeciągu 25 lat musi się to miasto obrócić na osi frontem do Wisły. My tego dokonamy. My, Carolingowie.

Wszystkie stolice europejskie są frontem do rzek! Tylko ta jedna, jedyna tyłem. My weźmiemy za kark syrenę i twarzą obrócimy do wody...

Tak gwarzyliśmy sobie z Hipciem, objeżdżając miasto w rannych godzinach. Potem odwiozłem Hipcia do sądu na Miodową i sam poszedłem już piechotą do tego okulisty, którego mi Homeopata świeżo doradził, a pułkownik sztabu jeneralnego, wczoraj na balu zaręczynowym u Wąsików, zachwalał. Spisuję te ostatnie słowa w „Pamiętniku” po południu o czwartej już po okuliście, to jest po awanturze u okulisty, i po drzemce, więc mogę szerzej.

Wszystko spakowane. Bilety są. Do wieczora już z domu nie wyjdę, „X” mnie na kolej odprowadzi. Homeopata już telefonicznie zbeształem, że mi takiego okularnika poradził, gdzie do takiej awantury w ostatni dzień doszło najniepotrzebniej.

Ale opowiem i opiszę *ab ovo*.

Najpierw ulica obskurna. Sień brudna, na schodach ciemno. Gaz się tli i kopci. W poczekalni niechlujstwo i nieład, krzesła o trzech nogach, subreta otwierająca drzwi pocinami cuchnie. Natomiast na ścianie olbrzymi afisz z napisem:

„Chcemy Króla!”.

Zrozumiałem oczywiście zaraz, gdzie jestem i gdzie mnie to złośliwy homeopata skierował.

Tak też było. Okulista ten był rojalistą.

Należał do tego rozgałęzionego wszędzie bractwa spiskującego, które jednego z brygandierów zamierzało koniecznie zrobić Królikiem, ustrój republikański zredukować, a stolicę przenieść do Krakowa, na Wawel, bliżej Kazimierza. Uparli się przy tym brygandierze i nie można było podstawić im innego na Pretendenta. Co jakiś czas wyciągali tego swojego kandydata z mieszkania i pędzili, żeby mówił do narodu. I Bogu ducha winien wielkolud o



skromniuchnych gangliach mózgowych stawał to na balkonie jakimś, to na estradzie, to na beczce od piwa, to na ławce w jakimś parku, wygadywał niestworzone anegdoty i kawały, cierpiąc przewlekłe na biegunkę słowną...

A każde takie przemówienie czy przegadanie się prezydenta drukowały zaraz pewne pisemka z chronicznego braku materiału sensacyjnego.

I z tego zrobił się kierunek polityczny i wielkie stronnictwo, i dużo z tego było dla jednych pociechy, a dla drugich – niepotrzebnej irytacji.

Ten atoli rojalista, do którego zaszedłem, aby mi okulary wybrał, nie tylko był okularnikiem nadwornym całej partii, ale i rymopiskiem, panegiryzującym w dniu uroczyste laurkowymi, okolicznościowymi wierszykami ku chwale brygandiera. Świadczyły już o tym porozkładane na stole w poczekalni, w cielecą skórę oprawne, „Kuranty o brygadierze”, „Królewski poemat”, „Za Niemen het precz”...

Wszystko to napisał **Otto Sołneczko** (widocznie Białorusin z domieszką germańską).

Kiedy przyszła na mnie kolej, kiedy wszedłem do gabinetu, wprost oniemiałem.

Przede wszystkim – smród. Smród i stęchlizna, zapach i kocich, i psich wydzielin. Chloroform i jodoform, zaduch. **Zupełnie jak w gabinecie redaktora Goryczki.** Identycznie ten sam skład chemiczny złego powietrza, bez cienia ozonu, bez uncji tlenu, nie mówiąc już o azocie.

**I ten sam nieład w gabinecie o zamkniętych szczelnie oknach na świat.**

W szafkach od przyrządów zbite szybki, posklejane zatłuszczonym papierem. Na podłodze porozlewany jakiś płyn fioletowy w olbrzymich strugach. Na stoliku, obok waty i przyrządów, przygotowane jadło, płatki szynki na gazecie i masło w słoiku od musztardy, przy czym duży rosyjski tulski

samowar kopcający! Samowar w XX wieku!!

Okulisty-rojalisty w gabinecie nie było. Więc dokoła mogłem rozejrzeć się dokładnie. Na ścianach może z kilkaset poprzyczepianych do ścian pluskwkami, a nieco popluskwionych wizerunków i fotografii „Pretendenta”: stojąco, siedząco, frontem, bokiem, tyłem, z szablą, do pasa, cała figura, do kolan, na bagnecie, na armacie okrakiem, z buławą, z jataganem, pod słupem, z oszczepem, na tanku, pod drzewem, na słupie, w łódce, w zytzbadzie, w samochodzie, sam, ze sztabem, w łóżku, w wannie, na stolcu (widocznie królewskim), a wreszcie na pryncypalnym miejscu w gabinecie okularnika, na postumencie, popiersie gipsowe Pretendenta w stylu kubicznym z koroną na czupurnej czuprynie.

Przypadkowo spojrzałem na przybory i aparaty okulisty trubadura. Wyszczerbione, zardzewiałe, niedomyte, a w tak obrzydliwym nieładzie, niechlujstwie i nieporządku, jaki tylko pamiętam jeszcze w... **gabinecie redaktora Goryczki!**

Jak to pogodzić? Przecież to były dwa bieguny z dwóch przeciwnych partii, nienawidzących się aż do utraty przytomności. Tu **Lehici** brygandyści, tam **Sarmaci** republikanie. Gdzie się tylko kiedykolwiek zetknęli, tam szli ze sobą na noże i obcinali sobie skalpy lub nosy (co było poręczniej). Goryczka o Sołneczku, a Sołneczko o Goryczce pisali to rymem, to prozem, najokropniejsze przykrości.

Ale jednak coś widocznie mieli wspólnego, rasowo dziedzicznego. **Oto zamknięte okna na świat!** Brak powietrza świeżego, nieprzewietrzany lokal, stęchlizna, brud, zapach wydzielin kocich i psich, kult bohaterów na papierze, na zapluskwionym papierze... no i jakaś organiczna, prasłowiańska **niezdolność do zorganizowania nawet swoich czterech ścian**. I takie typy chciały narzucić Polsce swego królika i urządzić państwo po swojemu?...

Właśnie tak oto rozmyślałem sobie, patrząc na otomanę z rozdartą w kilku miejscach czarną ceratą (załataną zielonym suknem), kiedy z drugiego pokoju dobiegł mnie śpiewny, kresowy głos męski:

– Ta całujcie mnie gdzieś z waszym obiadem, jak tam na mnie swołocz pacjenty czekają...

I w tej chwili drzwi się szeroko otworzyły i do gabinetu wszedł sam okulista-poetaster, jeden z nieprzeliczonych kamelotów brygandiera, „ssak łożyskowy” o poczciwej kałmuckiej czaszce, o oczach dziecka jakuckiego i o jasno słomianej blond czuprynie (germańskiej?).

– Ta proszę, siadaj pan tu na tym fotelu.

Spojrzałem na fotel na zepsutej śrubie, obluzowanych wszystkich sprężynach i ani drgnąłem. Już brakło mi też powietrza do oddychania w tym zaduchu.

– Ot, siadajcie serdeńko! Pan nie wiesz, kto na tym fotelu już siedział.

– Nie wiem i nie chcę wiedzieć, o ile przedtem nie otworzysz pan okna na świat!

– Okna otwierać? W zimie? Ot i zachciało się! Na tymże fotelu siedział przysły Król Polski, braciszku, a okna nie kazał mi otwierać. I trzy godziny tu siedział i rozpowiadał co nie bądź, a okna nie kazał otwierać! Jeszcze czego by brakowało?

I tu już nie pamiętam dokładnie, jak to się dalej potoczyło.

Wiem tylko tyle, że nagle porwała mnie dzika pasja na tego fetyszystę. Przekonawszy się naocznie, że jedni i drudzy, i Lechici, i Sarmaci, i republikanie, i rojalisty, i rasowi, i mieszańce **jednakowo okien na świat nie otwierają** i żyją w parafialnym, smrodliwym zaduchu, straciłem wszelkie panowanie nad sobą.

Zanim dostrzegł mój ruch Otto Sołneczko (zapiewajła

„Kurantów o brygadierze”), wyciągnąłem swój rewolwer z kieszeni, wałęnałem prosto w łeb.

Oślepiiony i ogłupiały padł na wznak brzuchem do sufitu, frontem do biustu swego kajzera.

Był to nowy wynalazek, przez policję angielską teraz używany, zabawka, ale groźna. Nawet skończonego idiotę taki rewolwer jeszcze więcej otumania i na półtorej minuty odbiera mu wszelką przytomność i władzę w ruchach. Kiedy się po chwili taki zabity rozbudzi, oczywiście zrywa się na równe nogi, klnie na czym świat stoi, ale napastnika już nie ma.

Wobec tego okulary sprawię sobie we Florencji.

Teraz dochodzi godzina ósma. Pisałem przed dwie godziny z rzędu. Przedtem testament godzinę: razem trzy. Za chwilę będzie tu „X”. Aha. Już dzwonek! To on...

Wyjeżdżam...

## **Koniec pamiętnika**

## **List profesora Januarego Pieterkiewicza do pana Kołtońskiego we Florencji**

Warszawa, dnia 15 marca

Drogi Panie!

Dopiero dostawszy wreszcie adres pański i zwycięskie relacje o szczęśliwym przebiegu kuracji Carowej, pośpieszam z listem. Dziękuję panu przede wszystkim za wtajemniczenie mnie we wszystko i za dowód zaufania, jakim mnie pan obdarzył oraz za propozycje przyjazdu natychmiastowego. Starania o gotówkę niezbędną już rozpocząłem. Ponieważ dzieło moje „O owadach”, nad którym pracowałem lat trzydzieści, nie znalazło w Polsce nakładcy, przeto

przerzuciłem się do przerwanych ongiś studium nad rybami swojskimi i mam nadzieję, że ta praca łatwiej znajdzie nakładcę, tak, że, jak tuszę, zaliczka na „Ryby rodzinne” pozwoli mi już w kwietniu stawić się we Florencji i poddać się tam temu zabiegowi odmładzającemu.

Spełniając pańską prośbę, będę się starał donieść panu, o ile możliwości, o wszystkim, co przez ten czas, to jest z górą miesiąc, zaszło w Klubie i w kraju. Wyjechał pan w okresie **stabilizacji stagnacji** i uruchomienia kryzysu. Pod tym względem mało się zmieniło, ale i ja mało się znam na tym, tak że w tej dziedzinie najlepiej poinformuje i objaśni nasz kochany prezes Matołowicz, który, o ile mi wiadomo, również od pana list florencki otrzymał. Wobec tego i ja Drogiemu Panu zreferuję tylko to głównie, co w Klubie się przez ten czas wydarzyło.

Zaraz omal po pańskim wyjeździe wrócili z Paryża Sztumpf z Dulskim, a z Wiednia mistrz Śláz. Ani ci, ani tamci **nie poddali się**. O Woronowie i Steinachu mówią, jako o ostatnich, a raczej o pierwszych szarlatanach XX wieku. Podobno tyle warci, co Guzik, czy też ten znachor – lekarz obecnie tak modny w Warszawie, leczący ludzi **manuterapią**, tj. przykładaniem rąk do bolesnej części ciała... Mistrz Śláz skorzystał atoli bardzo z pobytu nad modrym Dunajem, gdyż przywiózł z sobą taki zapas farb, lakierów i likierów rozmaitych, że to mu podobno wystarczy na dziesięć lat intensywnej twórczości.

Zabrał się też zaraz do portretu panny Pepci, jako **bachantki**, której akt cały robi w nowoczesnej balowej sukni. Portret zamówił jej narzeczony Wojciech Wąsik. Zna go pan? Ten dżokej z dawnej stajni wyścigowej Tarłów, a obecnie Bergsohnów i F. Einsteinów.

Teraz à propos tych ostatnich. Ślub Myrty z Olgierdem odbył się z wielką paradą u Panien Wizytek. Na weselu była

podobno cała dyplomacja in corpore i sam Pretendent także, a jakże (gdyż ta gałąź Bergsohnów jest wydelegowana do obozu brygandiera), a pan Olgierd finansowo popiera podobno całą agitację. Na weselu odczytano tysiąc telegramów, między innymi także od Was, tam z Włoch, z Watykanu podpisany przez kardynała Gasparoniego. U mistrza Ślaza zamówił pan młody portret żony na koniu na tle pałacu, który kupili zeszłego tygodnia od Koniecpolskich. Tak więc, jak widzi pan z tego, twórczość Ślazowa jest w takim rozkwicie i **plodności**, że nasz mistrz żadnego odmłodzenia właściwie nie potrzebuje.

Spodziewanej redukcji podatków jeszcześmy się nie doczekali, tylko redukcja urzędnicza trwa nadal i jest w pełnym rozwijowaniu. Biedny Wokulski, po zwinięciu „Głównego Urzędu Żywnościowego”, stracił posadę, starał się dostać na młodszego referenta w „Państwowej Radzie Spożywczej”, ale na próżno i dostał wreszcie miejsce starszego referenta w „Biurze Badania Cen”, to jest w nowej instytucji, rozbudowanej szeroko dla zwalczania drożyzny.

Czy podatek od kotów będzie uchwalony i przejdzie w Sejmie, to jest rzecz bardzo wątpliwa, gdyż trudno będzie o większość dla tej idei wobec tego, że kontrola nad tym, kto i ile kotów posiada, przedstawia niezwykle trudności. W każdym jednak razie tymczasem opłaty psów podwyższono dwudziestokrotnie, tak że egzekucjom i sekwestrom za niepłacenie „sobaczego” nie ma końca.

O rozmaitych bankructwach, upadłościach i plajtach naszych znajomych, przyjaciół i ich krewnych napisze Drogiemu Panu zapewne mecenas Matołowicz szczegółowo. Ja tylko tyle wiem, że ostatnio położył się jak długi nasz genialny Ramołyński Wiktor. Nie wiem, czy Panu wiadomo, że chciał w lutym założyć **fabrykę biczów z piasku**. Ale się rozmyślił i przerzucił do branży skórzanej. Ponieważ obecnie rząd masowo zdziera ze wszystkich skórę, więc Ramołyński

założył „Hurtownię skóry ludzkiej”. Jakiś czas to prosperowało, gdyż szła ta skóra na torby dziadowskie. Ale nagle i to im się pogorszyło. Zaprotestowali im weksli na olbrzymią sumę (mówią o 50 000 dolarów), opieczętowali składy i Wiktor uciekł autem za Ocean. Jest to już coś dwudziesty w stolicy wypadek wielkiej upadłości i szybkiego nocnego wyjazdu plajtmanów do Ameryki, co dało asumpt Pocijowskiemu do dowcipu o **amerykanizacji naszego przemysłu i handlu**.

Kamieniecki z wiosną zaczyna remont swego domu, z którego tynk odpada kawałami centnarowymi na trotuar. Ponieważ koło jego domu, sąsiadującego z Jockey-Clubem Erywańskim, przechodzić muszą rozmaici dyplomaci, więc tak się fatalnie zdarzyło, że kiedy zagadali raz, przystanąwszy pod ich balkonem, Sowdepecki z Angielskim, nagle oderwał się olbrzymi kawał gzymsu i obu dyplomatów na chwilę przysypał. Wyciągnęli ich spod gruzu, ale na Kamienieckiego nałożyli karę. Wobec tego sprzedaje swój majątek na Pomorzu i za gotówkę stąd uzyskaną z wiosną remontuje kamienicę. Zresztą w ogóle nikt nigdzie nie buduje, a przerabia się tylko rozmaite gmachy, co nam Prusaki, Moskale i Austriacy pozostawili.

O czymże tu Drogiemu Panu jeszcze donieść coś ciekawego? W „Klubie” ruch słabszy, nawet bardzo słaby. Dwa, trzy, cztery stoliki wieczorem. W bufecie także. Ja sam rzadko zachodzę, bo się wziąłem intensywnie do moich ryb domorosłych.

Wczoraj przy jednym stoliku wznowili starego preferansa: Homeopata, Generał, Pocijowski i Połaniecki. Kibicowaliśmy przy tym z Żółzikiewiczem. Ile razy ktoś powiedział „caro”, przypominałem sobie zaraz Pana i to, co nas wszystkich czeka wtajemniczonych, wezwanych i wybranych. Cieszę się, że są na liście predestynowanych

i biedny Homeopata, i Żółzikiewicz.

Otóż à propos tego ostatniego. Od pierwszego wydaje on ten swój „Głos Lechicki”, w którym dzień w dzień kłóca się i polemizują z Goryczki „Dziennikiem Sarmackim”, wywlekając sobie wzajem różne gafy i usterki, z czego wielką radość mają nasi zwolennicy brygandiera.

Trzeba przyznać, że i Goryczka, i Żółzikiewicz nawet odmłodzieli teraz, nabrali energii i werwy. Nigdy z taką pasją nie pisali wspólnie o swoich antagonistach, z jaką teraz mówią i piszą o sobie. Goryczka dał niedawno do poznania między wierszami w swoim artykule, że Żółzikiewicz po kądzieli pochodzi z Chazarów i że „Głos Sarmacki” subwencionują Litwini z Kowna. Najbardziej na tym profituje ten okulista wierszykarz Słońeczko, bo co tydzień kropi jeden sonet o Goryczce, a drugi o Żółzikiewiczu *ad maiorem Pretendenti gloriam*. I za „Żelazną Bramą Narodów” oba pisemka teraz lokatorzy Nalewek czytają...

Poza tym cóż jeszcze donieść? Stan sanitarny w Klubie także nieświatny. U jednych astma, u innych skneroza rozwijają się pomyślnie. Tu i ówdzie oczywiście i hemoroidy dają się we znaki. Moja nadzieja cała teraz we Florencji i w Drogim Kochanym Panu i jego protekcji. Aczkolwiek bowiem przysłowie łacińskie mówi, że „omnis caro foenum”, ten Caro jednakże wydaje się być prawdziwym cudotwórcą.

Ściskam serdecznie dłoń pańską i łączę wyrazy szacunku i poważania.

January Pieterkiewicz

PS À propos tego Kolumba, o którym swego czasu tyle było mowy ze względu na jego pochodzenie po kądzieli. Otóż okazuje się, że to było szarlataństwo i reklama, jaką mu zrobili przez kilkanaście lat **krewniacy matki**, majstrzy, jak wiadomo, w procederze kłamstwa. Okazuje się, że Kolumb



wcale Ameryki nie odkrył pierwszy. Wykazują to nowe badania naukowe. Młody uczoney „duński” Bergstein przedstawił Akademii Kopenhaskiej serię dokumentów, z których wynika, że Amerykę odkryli najstarsi z Ariów – Skandynawowie. Najdawniejsze ślady odkrycia Ameryki są już w sagach norweskich. Ponieważ Drogi Pan się tym bardzo interesował, więc jeszcze panu dodam te szczegóły, jakie we wczorajszym „Głosie Lechickim” wyczytałem. Otóż w sagach norweskich wyraźnie mówią, że rycerz (Wiking) Zeif, syn Eryka z Grenlandii dotarł do Nowej Finlandii, a stamtąd do Nowej Szkocji, aż wreszcie znalazł się w okolicy Rhode Island około roku 1000. Tam też znaleziono niedawno wśród wykopalisk szkielety ludzkie z ozdobami typowo skandynawskimi. Zatem już w roku 1001, przeszło 400 lat przed Kolumbem!

Oczywiście w dzisiejszym „Dzienniku Sarmackim” umieszczono artykuł o Żołzikiewiczu jako o masonie, ponieważ obala pogląd o Kolumbie jako o odkrywcy Ameryki właśnie wtedy, kiedy Kolumb ma zostać świętym i kiedy już się zaczął proces kanonizacyjny.

Proszę mi zaraz napisać, jak się to nazywa ten Falasza abisyński dla mnie przeznaczony. Pojmie Drogi Pan, że to mnie bardzo, bardzo obchodzi.

## **Wtóry list profesora Januarego Pieterkiewicza**

Warszawa, dnia 25 marca.

Drogi i Kochany Panie!

Nie mam dość słów wdzięczności za misję, którą mi Pan powierzył. Wszystkie papiery, dokumenty, świadectwa, wykazy uzdrowieńców, zdjęcia fotograficzne i plik lekarskich

pism włoskich otrzymałem w całości.

Stosownie do polecenia i instrukcji pańskiej zaprosiłem do siebie wszystkich 20 wybranych na piątek godzinę 10 wieczór. Stawiło się 17, inni usprawiedliwili swoje niestawiennictwo pisemne.

Do prelekcji przygotowywałem się dwa dni. Przed prelekcją odebrałem uroczystą przysięgę milczenia i tajemnicy. Po czym wszyscy zebrani podpisali się na certyfikacie, który przy niniejszym dołączam. Sam wywód lekarski poprzedziłem wstępem o **stabilizacji stagnacji**, czyli o **stagnacjonalizmie** naszym, o utrwaleniu kryzysu, o anemii budowlanej, o „l'improductivite slave”, o niezaradności i kalectwie, o zaniku inicjatywy, o uwiąznięciu szóstego zmysłu, o kurzej ślepcie, o śpiączce, apatii, ataraksji, zwapnieniu, rozrzedzeniu oraz przetwardzeniu mózgu oraz mózgow w ogóle, o naszym geniuszu dezorganizacji, demobilizacji, destrukcji, dekompozycji, deformacji, dezagregacji, dekonfitury itp. Po czym przedstawiłem im w rozmiarach apokaliptycznych niebezpieczeństwo chazarskie, łącznie z predyspozycjami rasowymi, fizjologicznymi i psychofizycznymi dla Chazarów.

Nie omieszkalem cytować to wszystko, co Drogi Pan zalecił (Spengler, Freud, Sombart, Bergshon, F. Einstein), po czym dopiero po dwugodzinnym wstępie przeszedłem do demonstrowania *ad oculos* metody doktora Caro, poddawszy równocześnie systemy Woronowa itp. innych znachorów i okpiświadczków druzgocącej krytyce. Specjalnie ostro wystąpiłem przeciwko metodzie dr. Steinacha, jego **wazoligaturze**, tj. podwiązywaniu i przerywaniu kanału odchodowego, wyprowadzającego normalnie materie rozrodcze z odnośnych gruczołów na zewnątrz. Wykazałem jasno, że ostatnie „sukcesy” doktora Harry Beniamina (Nowy Jew-Jork) z przeszło stoma pacjentami ludzkimi i czterema

koźmi wyścigowymi są skończonym, a typowo amerykańskim humbugiem.

Odmładza na kuli ziemskiej tylko jeden jedyny doktor Caro, przyjaciel Polaków, a posiadiciel całej kolonii czy plantacji zdrowych i młodych Falaszów (Semitów abisyńskich).

Wrażenie było wstrząsające. Zapisali się jednogłośnie i solidarnie wszyscy i wszyscy zdawali sobie jasno sprawę z olbrzymiego znaczenia, jakie będzie miało dla narodu i dla społeczeństwa dostarczenie w krótkim stosunkowo terminie grona, gremium, gromady skądś genialnych młodych, **długowiecznych indywidualności**. Kiedy jeszcze przedłożyłem im materiał faktyczny, autentyczny entuzjazm dosięgnął szczytu. Płakaliśmy i rzucaliśmy się sobie w objęcia. Homeopata zemdlał ze wzruszenia. Rozeszliśmy się nad ranem.

Dalsze szczegóły w dalszym liście, który wyślę wieczornym pociągiem.

Dłonie Przewodnikowi i Przewodnikowi naszemu ściskamy. Ja w imieniu wszystkich wdzięczny do grobowej deski.

J. Pieterkiewicz

PS Dzisiaj ogłoszono niewypłacalność firmy „Bergshon, F. Einstein & Comp.”. Na giełdzie panika. Bank i „Dom Handlowy” opieczętowane.

### **Telegram J. Andrzeja Pocijowskiego**

Firenze, Policlinica Giacomo Caro, via Cristobal Colombo 5,  
Kołtoński

Połaniecki, Płoszowski, Pieterkiewicz, Dulski – partirent  
aujourd`hui avec rapid du soir. Demain partira la seconde  
partie

Pociejowski junior.

## **Karta korespondencyjna Fr. Feliksa Szczęsnego Dołęgi**

Szanowny Panie! Oczywiście dziękuję, dziękuję i jeszcze raz dziękuję za to, że znalazłem się na liście wybranych, zdaje się chyba przypadkowo, gdyż ostatnimi czasy, o ile pamiętać mogę, byłeś Pan dla mnie cierpki i niechętny, a za co, to doprawdy nie wiem. Czy z uprzejmej propozycji jeszcze skorzystam, to rzecz inna, wątpliwa. Na owym zebraniu „wiekopomnym” u prof. Pieterkiewicza nie byłem. Będę w tych dniach, ale się nie kwapię, gdyż jako niewierny Tomasz jeszcze to uważam za znachorstwo i naukowo rzecz niepewną. Po drugie, ta cała kuracja to bardzo drogi concept. Nie każdy może sobie na to pozwolić. Pieterkiewiczowi wyrobiłeś Pan gratisowe miejsce (tyle, że go kolej będzie kosztować). Dla mnie Pan nie łaskaw oczywiście, choć Bóg świadkiem, ile to lat miałem Pana w mej lekarskiej pieczy i pigułkami i ziołami jakoś jednak przy zdrowiu trzymałem (bezinteresownie). No, mniejsza z tym, dość, że to „Carowanie” bardzo kosztowne, a tu gotówki w kraju jak nie było, tak i nie ma. Im więcej piszą artykułów o „obiegu banknotów”, tym mniej ich obiega. Konsolidacja kryzysu trwa. W przemyśle reumatyzm, w handlu artretyzm. Czy Pan wiesz, że w Polsce na głowę przypada teraz 46 procent obciążenia podatkowego, to znaczy o 60 procent więcej jak za Moskala? Jak z tak obciążoną głową można dziś myśleć o wyjeździe do Pańskiego Carogrodu? (Do tej Florencji). Ubocznie donoszę Panu jako szachista, że ten Lasker

(z Będzina) już utracił swój szampionat światowy. Teraz znów jest Capablanca, choć tam Kubańczyk, ale bardzo, bądź co bądź, z „najstarszych Ariów”, a nie z Chazarów. Neofytynę bierz Pan mimo wszystko, bo to Panu nigdy nie zaszkodzi, a może pomóc więcej od tego całego doktora Caro. Z należytych szacunkami,

Feliks Szczęsny Dołęga

(Homeopata, jakieś Pan go podobno raczył nazwać)

## List Mistrza Jeana Gwalberta Ślaza

Varsovie...

Place Varecki (Napoleon Premier), Etage nr 5

Cher Monsieur!

Imaginuj Pan sobie, Panie Tymoteuszk, *qu'un masse de travail*, zamówień i obstalunków jeszcze wstrzymuje mnie od wyjazdu do boskiej Firenze la Bella. *Mon tableau* wystawiony w Zachęcie pod tytułem „Bachantka”, do którego pozowała mi *la ravissante et douce mademoiselle Pepa (la fille de Votre Wojciechowa)* wywołał formalną *sensation et une grande fourore*. Futurysty po prostu pękały *de la jalousie*. Ofert miałem oczywiście bez liku. *La plus belle femme de Varsovie*, madame Tarło, chciała kupić, Koniecpolscy aussi, Ministerstwo, Muzeum, pewien *Kunsthändler de Kattowitz*, ale ostatecznie musiałem go *avec grand domage* odstąpić najczęściej dającej pewnej segefemmie, która kształciła się na *cantatrice operowa* i kolekcjonuje sobie galerię. *Imaginez vous*, że teraz ten sam obraz muszę jeszcze wymalować *cinq fois pour faire plair aux amateurs*. Pomagają mi w tym *les deux rapins z Ecole des Baux Arts* i za dwa tygodnie będą gotowe.

No, a teraz skandal!

Podobno pani Hipciowa, *la plus belle femme de Varsovie* (której portret, przeze mnie zrobiony swego czasu, wywołał *beaucoup de bruit et fourre*), już Panu, *cher Monsieur*, doniosła o jej nieszczęściu. *J'en doute fort*, czy wiernie i szczerze? Ja tam byłem wtedy *dans nos Tuilleries*, *imaginez vous*, więc mogę *avec des details...*

Podobno i za Króla Stasia te Obiady Czwartkowe też nie były bardzo *ravissant et amusant*. Te obecne *five o' clock teas* są już istotnie może czarujące *mais ennuyant comme tout*. Bywają rozmaite bardzo starsze *mais toujours belles dames* z towarzystwa, te same, które bywały na Zamku u ś.p. Engalyczewych, potem u ś.p. Besselera, dalej *rendez vous de tous les Galiciens*, kilka uroczych pań z dyplomacji, zawsze dwóch aktorów, jeden starszy, drugi *notre jeune premier* i zawsze *quelqu'es artistes pour le piano*. Widywałem w życiu dużo recepcji, na których on *baille* po kątach *et dans les fumoirs*, ale tak ziewającej do ściany socjety jeszcze nigdy! *Je vous jure dans ma vie*, nie widziałem. Pijałem *dans nos pèlerinages et vagabondages européens* rozmaite wina, ale tak „owocowego” *jamais de la vie*. „Pana Tadeusza” zaś deklamowanego *par notre celebre Coquelin et mon très cher ami*, można słuchać 30, *enfin* 32 razy, *mais 60 fois pardonnez moi ont devient fou! Complettement fou!!!*

Coraz mniej osób bywało na tych *charmantes soirees* czwartkowych, tak że wreszcie (*pour attirer le monde*) zdecydowano się urządzić *un dancing presidentiele avec jazzband, mais naturellement très correct et chic*. *Pour la première fois* rozesłano *quatre milles invitations*. Przyszło 200 osób. *Les Galiciens* z ministerstw *en complet...* *les kanoniczki, mesdames de Macbeth* (wiedźmy), *les blanbecs de MSZ*, *les professionnels fox-trotteurs*, wszystkie żony dyplomatów bałkańskich i bałtyckich.

*Et moi malheureux!* Na moje nieszczęście namówiłem na Zamek *ce monstre de Matołowicz...*

Weszliśmy, kiedy grały jazzbandits „Betsy, I love you, nur diese eine Nacht aber nackt”. Tańco odbywało się w rycerskiej. W kolumnowej urządzono *jardin d'hiver* z roślinności tropikalnej, z palm kokosowych, eukaliptusów, *magnolias*, pomarańczowych drzew z liściem figowym itp. Na kanapie, obok najwyższej żeńskiej osobistości *la plus belle femme de Varsovie*, siedział metropolita prawosławny z jednego, brygandier-pretendent z drugiego boku, *monsieur l'ambassadeur des Soviets* z trzeciego.

*Notre* Hipcio nie zdradzał na początku żadnych objawów, *au contraire* był w doskonałym humorze. Sprezentowany kanapie pocałował przez omyłkę *Metropolitaina*, ale to nie zwróciło niczyjej uwagi, gdyż wszyscy obserwowali tańczącą ambasadorką Anagorską, kocicę śliczną i ubraną tylko w długi, przeźroczysty, okręcony koło ciała ręcznik batikowy (żonę Chaifec-Paszy). Nic nie przeczuwając, *naturellement*, zaflirtowałem się z jedną z młodych ministrowych, która w bardzo uroczej manierze *faisait sa petite manicure...* wykałaczką, kiedy nagle jazzbandits zagrały jakiś *horriblement* murzyński stepowy, *one step*.

*Imaginez vous* jarząco oświetloną salę kolumnową, w niej *haute volée* i *highlife*. I nagle na jedną kolumnę marmurową wskakuje jeden z panów z niesłychaną zręcznością *comme un singe*, jak pitecantropos erectus, wspina się do góry coraz wyżej, wyżej, aż do samego kapitelu. *Un cri* zdumienia i przerażenia. Początkowo myślano, że to któryś z jazzbandytów. *Ces messieurs les musiciens* wyprawiają takie *extravagances et des equilibristiques* przy graniu, *qu'on a supposé*, że to jeden z nich wskoczył na kolumnę.

*Cependant*, ja patrzę, a ten pitecantropos to nasz prezes! *Heureusement, heureusement*, że biednej pani Hipciowej nie

było. Widocznie podziałał na jej męża *odeur* tych egzotycznych roślin podzwrotnikowych, magnolii, liści figowych, palm daktylowych i kokosowych. Łącznie z muzyką i tyłu obnażonymi biustami przypomniał mu się jakiś dawny *paysage... son pays natal. Et voila*, to są skutki szczęśliwie przebytej kuracji tego Woronowa! Operacja zawsze się udaje, ale często zanadto, bo pacjent przemienia się w *pitecantropos erectus*.

Możesz sobie wyimaginaować, drogi panie Tymoteuszu, co się potem działo *dans le Chateau Royal. Quel scandale! Quel scandale!* Nie mam po prostu sił i zdrowia, żeby Panu resztę wydarzeń opisywać.

Teraz *le pauvre melheureux* leży u siebie oczywiście potłuczony i poraniony. *On dit*, że będzie się musiał znów poddać kontroperacji *à la manière des ennuches sultanes*.

W Cara cudotwórcę wierzymy tu natomiast wszyscy nadal *sans restrictiones...*

I jedziemy do boskiej Firenze jak jeden mąż, *unisono*.

Za sprostowanie co do koligacji Mussoliniego i d'Annunzia *mille gracias*. Ucieszyliśmy się bardzo, że nie są z Brodów, a że są Rzymianami *pur sang, sans pur et sans reproche*. Nigdy nie mogłem uwierzyć w tę *doctrine et hypothèse très moderne mais triste*, że genialnymi ludźmi naszej epoki są *seulement les neofitines, seulement les Bergsons les Einsteins*, po mieczu lub przynajmniej po kądzieli... *Enfin* (odrzucając wrodzoną modestię) ja sam przecież jestem w Polsce *une vivante contradiction de cette doctrine pejsymite...*

O dacie mojego wyjazdu tam, gdzie cytryna dojrzewa, doniosę panu w najbliższych dniach.

Jutro wyjeżdża *la quatrième partie*, to jest Wokulski, Ramołyński, Pocijowski oraz *notre cher* Żółzikiewicz *a cuse de quoi son journal* „Głos Sarmacki” już przestał wychodzić



wczoraj.

Ściskam drogiemu panu obie ręce, *et à bientôt votre sincère et toujours dévoué.*

Jean G. Śláz

*Chevalier de Legion d'honneurs et de Cordon Rouge du Roi Michael Roumanie.*

PS Zapomniałem panu dodać, że nasz *charment vieillard* „Dziennik Sarmacki” z braku gości zawiesił się własnoręcznie zeszłego tygodnia, a pan Goryczka wrócił po dwudziestu latach do swej profesury w Akademii Weterynaryjnej.

\* \* \* \* \*

### **„Wykaz naszej działalności”**

sporządzony własnoręcznie przez senatora Tymoteusza Korejszę-Kołtońskiego w roku 1964).

Następujący członkowie byłego „Koła Racjonalnego Rybołówstwa”, którzy w roku 1925 poddali się (pierwsi w Europie, najmłodszy z Ariów) regeneracyjnej kuracji doktora Giacoma Caro we Florencji, działali między latami 1926 a 1942, co następuje (w alfabetycznym porządku):

Dołęga Feliks Szcześny (lekarz homeopata)

Dulski Anastazy Felicjan Safian

Kamienicki Melchior

Kresowiecki Mikołaj

Łykowski Roch Roman

Matołowicz Hipolit

Pieterkiewicz January

Płoszowski Mateusz

Pociejewski Andrzej (senior)

Pociejewski Andrzej Jerzy (junior)

Połaniecki Florian  
Ramołyński Wiktor  
Ramołyński Stefan  
Sztumpf Kordian  
Sztumpf Litawor  
Sztumpf Wodzisław  
Wąsik Adalbert  
Wokulski Krzysztof  
Żółzikiewicz Albin

A mianowicie:

1) Dołęga Szczęsny Feliks (ongiś homeopata):

Jako poseł do parlamentu: przeprowadzenie w ciągu trzech lat w ciałach prawodawczych ustawy o prohibicji (wzorowanej na amerykańskiej). Zamknięcie wszystkich gorzelnii rolniczych i przemysłowych (produkcja w roku 1924 – 1 104 000 + 96 000 hektarów wódki). Dostarczenie w ten sposób linii okrętowej Gdynia – Buenos Ayeres kontyngentu emigracyjnego z 12 tysięcy Chazarów-szynkarzy.

Instytut „Radiorapia” (Nałęczów) dla leczenia raka na 1800 łóżek (największy w Europie Wschodniej).

Instytut „Ozonorapia” (Chojnice) na 800 łóżek (największy w Polsce).

Wreszcie: „Akwawitania” – preparat specjalny, zastępujący wszystkie narkotyki i alkoholedryny, podniecający energię i siły życiowe, zawierający w dużym procencie „Witaminę”.

Przebudowa sześciuset gmachów więziennych na „Domy Pracy” wyteżonej. Przeniesienie mennicy państwowej do Wiślicza, a Drukarni Państwowej – do więzienia na Mokotowie. Pierwsze kadry polskiej „Armii Zbawienia”. Dołęga jako polski „jenerał Booth”.

## 2) D u l s k i A n a s t a z y F e l i c j a n:

Sześciokrotny wyjazd do Ameryki w roku 1928. Przeprowadzenie z rządem Stanów Zjednoczonych pertraktacji w sprawie reemigracji.

Sfinalizowanie ugody z Detroit z Polonią amerykańską i amerykanizującą się, rozsierdzoną utratą milionów (zaoszczędzanych przez 50 lat) dolarów. Organizacja tejże reemigracji masowej wspólnie z J.A. Pocijowskim. Idea: linia żegluga Puck – Singapore. Przeprowadzenie wykupu wyspy Kreta... Wysiedlenie Kretynów tamtejszych do Samary. Kolonizacja i amerykańskizacja naszych Kresów Wschodnich.

Rozbudowa miasta: „Covel”. Spolonizowanie Kreta Białorusinami. Filia Forda w Brześciu Litewskim. Roczna produkcja Fordsonów 3800 (rok 1927).

## 3) K a m i e n i e c k i M e l c h i o r:

Parcelacja i rozbudowa dzielnicy Pól Mokotowskich. Uruchomienie tysiąca cegielni (rok 1928). Kartel Cementowy. „Ferro-Beton” (Żwirówka). Towarzystwo z nieograniczoną poręką. Wysiedlenie ludności z Sosnowca; zbombardowanie i zniszczenie tegoż. Ż e r o m s k – fabryczne miasto-ogród w myśl ideałów Ruskina i Morrisa.

Przeniesienie trzech pomników z Warszawy na Pragę. Obelisk Windsorski na Krakowskim Przedmieściu (dar dynastii angielskiej). Odbudowa zamku w Sieniawie i zamku Piastów w Pszczynie (Pless). Łaźnie stołeczne i 30 łaźni wojewódzkich.

## 4) K r e c h o w i e c k i M i k o ł a j:

Projekt permanentnego zjazdu miesięcznego geometrów i inżynierów w Warszawie.

Pierwsza mapa plastyczna najgorszych dróg i szos na globie ziemskim. Konsorcjum polsko-szwajcarskie. Makadamowanie jezdni w 36 miastach polskich. „Szosa karpacka”. 28 tysięcy kilometrów asfaltowanych gościńców.

36 tysięcy kilometrów szos bitych.

Wpływ melioracji szosowych na rozwój i rozrost automobilizmu. Filia Fiata w Falencinie.

„Samorusy”, tj. największa we Wschodniej Europie polska fabryka samochodów siedmiokołowych specjalnie przeznaczonych dla Rosji Europejskiej, Sybiru, Tybetu, Chiwy, Buchar. Filia „Samorus” w „ultima Thule” (Tuła).

5) Ł y k o w s k i R o c h R o m a n:

Generalny gubernator Włosko-Polskiego Banku (Banca Commerciale). Twórca naszego A.E.G. Elektryfikacja pierwszej linii kolejowej Poznań – Gdańsk.

Sztuczny wodospad Bugu. Instalacja trzech linii jednotorowego tramwaju elektrycznego: Lwów – Baranów, Kraków – Ojców, Warszawa – Puławy. Funikulerki na Babią Górę i z Babiej Góry, na Czarnohorę i z Czarnohory. Pertraktacje z ramienia rządu z rządem czeskim (rok 1931). Czesi otrzymują Będzin (na lat 99), Polska dostaje Piszczany, część drugą Cieszyńskiego i trzy dziesiąte w zakładach Škody.

Prezes budowy pomnika Curie-Skłodowskiej na Placu Zbawiciela w Warszawie.

6) M a t o ł o w i c z H i p o l i t:

Senator i dwukrotny prezes „Banku Słowiańskiego”. Reorganizacja wszystkich krajowych fabryk likierów na fabryki lakierów. Przeprowadzenie w celach prawodawczych (wraz z posłem Dołęgą) ustawy zakazującej eksport żywego towaru ludzkiego za granicę i drugiej ustawy zakazującej importu luksusowej konfekcji i trunków musujących.

Tayloryzacja pracy w przemyśle łódzkim i bielskim. Trust walcowni. Konsorcjum czesko-polskie „Metropolitan” oraz budowa pierwszych kolejek podziemnych w Warszawie (Praga – Wola, Mokotów – Jabłonna, Powsin – Bielany).

7) P i e t e r k i e w i c z J a n u a r y (były profesor gimnazjum Reja w Warszawie):

Pierwsza krajowa wylęgarnia łososiów i pstrągów (w Szczawnicy, rok 1920). „Ostryga Wiślana”, tj. wyhodowanie i uprawa krajowa ostryg na największą skalę. „Akwarium Bałtyckie” w Wejherowie. Centralizacja całego handlu kawioru wschodnioeuropejskiego w Kartuzach. Wyższe Seminarium Racjonalnego Rybołówstwa w Mławie. Wytwórnia wagonów lodowni (chłodziarki) tamże. Wyhodowanie i uprawa gatunku „Sardynka sarmacka” (płatki). Fabryka puszek blaszanych dla tychże (roczna produkcja 558000 sztuk, rok 1933).

Współ z posłem Dołęgą i braćmi Sztumpfami organizator wielkiego politycznego stronnictwa postępowych narodowców „Nacjonalizm Oświecony”. Dwukrotny prezes gabinetu.

8) P ł o s z o w s k i M a t e u s z :

Autor broszury „Z dogmatem”. Pierwsza polska fabryka gramofonów zatrudniająca wszystkich polskich grafomanów (2600 robotników w roku 1930). Obrót roczny (1940) – 6 765 000 złotych. Filie w Kijowie i w Jassach.

9) P o c i e j o w s k i A n d r z e j :

Liga „Pro Palestyna”. Pierwszy wiec w Warszawie, 1926 rok. Czteryście wieców w całej Polsce. Propaganda konsekwentnego aktywnego Syjonizmu. Wielkie Towarzystwo Transportowe Emigracyjne z kapitałem międzynarodowym („Speyer”, „Wahruburg”, „Kuhn, Loeb, Loenstein”, Rotszyldzi londyńscy). Dwie nowe linie: Tczew – Haifa i Hel – Krym.

Pierwsze lata wywozu:

1927 .....	.22 000
1929 .....	.47 000
1931 .....	.270 000
1934 .....	.875 000

W roku 1931 mianowany komandorem Wielkiej Gwiazdy

Syjonu, w roku 1932 C.M.B. (kawaler orderu „Podwiązki”).

10) P o c i e j o w s k i A n d r z e j J e r z y (junior):

Idea połączenie wszystkich istniejących w Polsce w roku 1926, w sumie 44, Towarzystw i Lig Żeglugowych, a po złączeniu tychże zlikwidowanie wszystkich połączonych Towarzystw i Lig Żeglugowych. „Societa Italiano-Polacca de Navigazione” (Tczewo – Trieste). Wypuk stoczni Klawitterów w Gdańsku. Obaj Pocijowscy z Dulskim tworzą wspólnie polską Cunard-Line „Sarmatia”. Rozbudowa portu Adampol nad Czarnym Morzem na podstawie umowy z rządem tureckim w Angorze. Fuzja Pocijowskich z White-Star Line i japońską Kobe-Asaka. Pobyt czterokrotny Pocijowskiego w Tokio. Zainteresowanie kapitału japońskiego dla rozwoju hut szklanych w Polsce. 100 instruktorów japońskich dla prowadzenia krajowych fabryk porcelany. Nowy Korzec. „Majolikalisz” (kierownik prof. Kawasaki z Kobe). Pałac w Belwederze zamieniony na państwową fabrykę porcelany.

11) P o ł a n i e c k i F l o r i a n (były urzędnik gazowni miejskiej w Warszawie):

Dwuletni pobyt w Ameryce i Kanadzie.

Studia w laboratorium gazów trujących u pułkownika Lewisa. Instalacje gazowniane w stu miastach polskich (Kresy). Laboratorium gazowe w Modlinie. Udoskonalenie lewisytu.

Epokowy wynalazek hydroksylitu i pyropykliny, tj. gazu zatruwającego wodę (w rzekach, studniach, stawach, wodociągach) oraz gazu błyskawicznie spalającego roślinność. Modlin ewakuowany i zamieniony w całości na wytwórnię hydroksylitu. „Międzynarodowa Komisja Rzeczoznawców”, wydelegowana z Ligii Narodów w Genewie (rok 1933) uznaje, że w tych warunkach i wobec tego wynalazku każda wojna zaczepna z Polską trwać może najdłużej 2 do 3 godzin. Połaniecki laureatem pokojowej

nagrody Nobla (1933). Nocny nalot samolotów gdańskich na Modlin (3.4.1933). Odwet (4.4.1933). Połaniecki nadburmistrzem gdańskim.

12) R a m o ł y ń s k i W i k t o r, dyrektor nowej Opery Popularnej na Pradze (3500 miejsc):

Polskie Oberammergau w Jaremczu. Widowiska pasyjne dla Słowian, Rumunów, Hucułów, Węgrów. Przedłożenie rządowi projektu ewakuacji Zakopanego; spalenie i zrównanie z ziemią Krupówek z przyległościami. „La Cyrła” – międzynarodowe uzdrowisko w Tatrach. Roentgenoterapia, Ozonoterapia, Caroterapia. Połączenie z Krakowem linią powietrzną (18 minut jazdy), kąpiele słoneczne i księżycowe. Hotele: „Ritz”, „Splendid”, „Waldorf Astoria”, „Braganza”, „Continental”, „Monaco”, „Prince of Wales”, „Leninhof”, „Selamlik”, „Philadelphia”.

13) R a m o ł y ń s k i S t e f a n:

Żył krótko. W roku 1929, to znaczy na rok przed śmiercią (niestety leczony u Jana Bożego), wynalazł zabawkę dziecinną, dziś tak ulubioną i popularną na całym globie, tj. polskie „Perpetuum mobile” (klepsydrę z piaskiem, samoprzewrotną).

14) S t u m p f K o r d i a n:

Przede wszystkim preparat chemiczny do zwalczania pasożyta leśnego, tzw. sówki choinówki. Odebranie Anglikom monopolu na Białowieżę. Park Narodowy i rezerwat w Puszczy Naliobockiej. Sprowadzenie (łącznie z Połanieckim) 40 żubrów z Kanady oraz 60 sztuk niedźwiedzi ze Sybiru. Wyhodowanie i wprowadzenie gatunku cedru polskiego. Dwie szkółki leśne cedrowe. Plantacja chmielu (dla browarów). Próby hodowli mandarynek na stokach Karpat. Wprowadzenie kultury jabłek tyrolskich (*Calville*). Ogród w Powsinie z 44000 drzew owocowych (instruktorzy czescy). Kultura modrzewia polskiego (*Larix*

*Polonica*). Przetwórnice owocowe. Park narodowy w Kampinoskiej Puszczy.

15) S z t u m p f W o d z i s ł a w:

Wyzwolenie polskiej nafty. Sfinalizowanie układów z Bankiem Berneńskim (Caro-Pick-Brothers). „Kartel gazolinowy”. Odkup „Oleum” i „Sylvia Plana”. Pionier Taylor-Systemu i tayloryzacja pracy w Borysławiu, Drohobyczu, Tustanowicach, Schodnicy. Odkrycie szybów naftowych w Górach Świętokrzyskich. Kolej elektryczna Kielce – Katowice i Kielce – Częstochowa.

16) S z t u m p f L i t a w o r:

Trust gałganiarzy. Pięć hurtowni odpadków włókienniczych, szmat, strzępów.

Tak zwana „Nagroda Sztumpfa” – za punktualność i dotrzymanie terminu u rzemieślników, krawców, szewców, stolarzy itp.

17) W ą s i k A d a l b e r t (samouk, ongiś dżokej):

„Polotanki” – pierwsza krajowa wytwórnia tanków spacerowych, specjalnie nadających się do wycieczek górskich.

18) W o k u l s k i K r z y s z t o f (architekt):

Dokończenie budowy Mostu Poniatowskiego w Warszawie. Budowa czterech mostów na Wiśle (rok 1929). Grupa Banków Amerykańskich („Finezyjne”, „Reserve-Federal Banc”, „Bergsohn and Caro”) wprowadza na giełdę nowojorską 7%-ową pożyczkę dla finansowania regulacji rzek polskich. Towarzystwo „Spław” przemianowane na „Hydro-Sarmacja”. Regulacja rzek: Pilicy i Bzury, Wieprza i Wisły. Bulwary praskie (łącznie z Kamienieckim). Pałac prezydenta na Solcu (1930 – 1934). Pałac prymasa na bulwarze lwowskim (obok „Banku Pomorskiego” i „Biblioteki Narodowej”).

19) Ż o ł z i k i e w i c z A l b i n (były współpracownik



i redaktor „Dziennika Sarmackiego i „Głosu Sarmackiego”):

Dwa wynalazki epokowe:

Nowy typ pióra wiecznego „Standard” – samopiszące i samomyślące.

Maszyna do pisania artykułów wstępnych (nie potrzebuje obsługi, pracuje automatycznie na dany temat, z napędem elektrycznym; w nocy świeci, zarazem budzik).

W roku 1930 założył **Sanatorium w Reymontowie** dla dziennikarzy podupadających, **zaniedbanych intelektualnie**, ciepiących na partyjne rozrzedzenie mózgu (*rabies polemica cerebralis*).

W tymże roku utworzył kartel wszystkich papierni, stanął na jego czele, ogłosił lokaut na pół roku i przerwał pracę w papierniach. Drukarnie wszystkie oczywiście też stanęły. Równocześnie zainicjował skup jednodniowy całej prasy periodycznej w Polsce, uzyskawszy na to kapitał za napisanie scenariusza filmowego („Faraon” Prusa) dla nowojorskiej wytwórni („Pincus-Players”). Trzy te po sobie idące fakty, tj. lokaut papierni, zamknięcie drukarni i zlikwidowanie prasy rodzimej wypłynęły niezwykle dobroczynnie na stan księgarstwa, stan czytelnictwa i stan sanitarny w kraju.

Rzucono się do rozkupienia olbrzymich zapasów nadrukowanych książek, które już od roku 1925 nie znajdowały literalnie żadnych nabywców i w olbrzymich zwalach i archipelagach zalegały wszystkie księgarnie, magazyny, piwnice.

Równocześnie wzrosła wprost oszałamiająco frekwencja czytelników w nielicznych bibliotekach polskich (z 3% na 98%) do tego nawet stopnia, że przy istniejących bibliotekach musiano szybko dobudować hale czytelnicze w prowizorycznych barakach, pawilonach, namiotach.

W ten sposób w przeciągu sześciu miesięcy cała inteligencja współczesna zapoznała się po raz pierwszy z całą

wiedzą nowoczesną oraz z literaturą przeszłą i bieżącą; doszło do tego, że rdzenni „najmłodszy z Ariów” zaczęli czytać książki polskie, a nawet po dworach i pałacach można było widzieć dzieła Kochanowskiego, Mickiewicza, Krasińskiego.

Zlikwidowanie zaś prasy codziennej wpłynęło niezwykle na zdrowotność mieszkańców i na stan sanitarny kraju oraz zmniejszyło procent śmiertelności u dorosłych i noworodków, równocześnie ograniczając przestępczość oraz zbrodniczość do minimum.

Tego dokonał Żółzikiewicz w jednym roku 1930.

W styczniu 1931 roku zaczął wydawać pierwszy polski *Journal sans fil de fer*, codzienne mówione pismo, złożony sztab redakcyjny z pięciuset dziennikarzy, uzdrowionych w Reymontowie. Tytuł : „Radio”.

20. „X” ...

## **Epilog**

Na tym „Wykazie” chlubnej, owocnej i produktywnej działalności dwudziestu odmłodzieńców, uzdrowionych systemem doktora Caro w roku 1926, kończył się i urywał fragmentaryczny „Pamiętnik” senatora Kołtońskiego, generalnego dyrektora „Az-Amu” wraz z jego aneksami, korespondencją itp.

Jak widzimy, o swoich zasługach wiekopomnych, o swojej tytanicznej działalności nie wspomniał nasz „grand old man” ani jednym słówkiem.

Również ani jednym słówkiem nie wyjaśniono, kto zacytowany jest tajemnicza postać pana „X”.

Godzi się żywić nadzieję, że profesor Jurand Sztumpf, syn Wodzisława, a wnuk Fryderyka Ottona, pisząc swą autobiografię ilustrowaną „Koła Racjonalnego Rybołówstwa”, rozjaśni nam zagadkę pana „X”, a największy rozdział

monografii poświęci działalności i zasługom senatora Kołtońskiego, bądź co bądź pioniera całej tej akcji zeuropeizowania Polski, dokonanego przez odmłodzenie systemem doktora Caro dwudziestu członków „Koła Racjonalnego Rybołówstwa” w roku pańskim 1926.

Adolf Nowaczyński  
*System Doktora Caro*

Redakcja:  
*Anna Oldak, Hanna Milewska*

Projekt okładki:  
*STUDIO OŻYWIANIA KSIĄŻKI KARTALIA*

Copyright © for the e-book edition  
by FUNDACJA FESTINA LENTE 2014

Warszawa 2014

ISBN 978-83-7904-223-4

Fundacja Festina Lente  
ul. Nowoursynowska 160B/7  
02-776 Warszawa



FUNDACJA  
FESTINA LENTE  
[www.festina-lente.org.pl](http://www.festina-lente.org.pl)



[www.chmuraczytania.pl](http://www.chmuraczytania.pl)



[www.eLib.pl](http://www.eLib.pl)